Nr 28 (1590). Warszawa, 15 lipca 1911 r. Rok XXXI

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Obłęd i ruina.

De mortuis nil, nisi... vere.

Ruina, spowodowana obłędem, i obłęd, jątrzony grozą walenia się w ruinę,—oto są dzieje ostatnich dni Demokracji Narodowej.

Szał i popłoch, jaki ogarnął przerzedzone szeregi stronnictwa, żywo przypomina obraz owego zamętu i rozpaczy, jakie w kołach klerykalnych zapanowały nazajutrz po katastrofie Jasnogórskiej.

Gdy jedni osłaniają jeszcze ogrom klęski, inni, popędliwsi, już biegną dzielić się jej hańbą—z całym narodem. Niektórzy nawołują do pokuty i głoszą potrzebę kajania się za grzechy, lecz spowiedź rozpoczynają od sądów i wyroków na—społeczeństwo. Gdy usta ich szepcą po cichu słowa skruchy, serce wyje wściekłością żalu po utraconej roli przewodnictwa.

Garść osamotnionych przywódców, widząc rosnącą dokoła siebie pustkę, ciska pogróżki i bezsilne klątwy w ślad za gromadnie pierzchającą armją, a jednocześnie, jakby dla kontrastu, serdecznie winszuje samej sobie szczytnego odosobnienia, stawiąc je odtąd, jako rękojmię „czystości przekonań i odwagi cywilnej".

Nikt jednakże, nawet pośród osób najmocniej przekonanych o potrzebie dalszego istnienia Dem.-Nar., nie tai się z tym, że kredyt moralny stronnictwa spadł poniżej zera. Już nikt nie chce brać chluby z przynależności swej do niego. Od pnia macierzystego odpadają już nie tylko drobne gałązki, ale całe konary. Wiemy już, jak wrogie i ostre wobec dyktatury Dmowskiego stanowisko zajął odłam Lubelski stronnictwa: *Ziemia Lubelska*, wytykając kameleonową zmienność kierownictwu polityki wszechpolskiej, oskarżyła wręcz jej wodzów o z n i e p r a w i a n i e n a r o d u. Podobnież wyłamanie się z karbów samowoli „wszechpolskiej" innej grupy prowincjonalnej ujawnia niemniej stanowcza odprawa, jaką szkolnym uchwałom N.D. dał *Kurjer Zagłębia*. W ziemi Piotrkowskiej dokonywa się również znamienny proces przesilenia, w kierunku stargania wszelkich węzłów sympatji z dotychczasową polityką Dmowskich i Balickich. Ferment wkroczył już nawet do okręgu warszawskiego i tu wywołał rozłam wewnętrzny, powodując wystąpienie poważnego zastępu członków ze stronnictwa. Za kordonem siły wszechpolskie uległy niemal jednocześnie rozbiciu i rozsypce: ostatnie wybory do Rady Państwa zadały stronnictwu cios śmiertelny w Galicji, nad którą zaczyna wreszcie świtać powoli brzask kultury i postępu. W Poznańskim wpływy Dem. Nar. nigdy nie były szerokie; natomiast Śląsk stał się areną bezprzykładnego pogromu „polityki narodowej" przez jednego z najczynniejszych niegdyś jej propagatorów, — posła Korfantego. Ten ostatni zdążył nawet już pozyskać miejsce dla siebie w dziejach mortylorogji endeckiej, gdy, nagle front zmieniwszy, wszedł w układ z redaktorem *Polaka - Katolika*, posłem Napieralskim, stając w szeregach bezwolnych i posłusznych pachołków katolickiego *Centrum*. Jest to *wolta przekonaniowa*, niezmiernie w obozie wszechpolskim rozpowszechniona i charakterystyczna dla stronnictwa, które bynajmniej nie dbało o *dobór* ludzi w swych szeregach, o ich szczerość i przymioty moralne, i które, ponadto, ani razu nie miało odwagi wyraźnie i śmiało rozgraniczyć między sobą interesów *katolicyzmu* oraz interesów *polskości*. To też sprytny i przewrotny szalbierz polityczny, jakim okazał się Korfanty, z zupełnym powodzeniem, na gruncie Śląskim, stosować może przeciwko resztkom Endecji tę samę broń, którą ona zwalczała żywioły lewicowe: zarzuca jej *bezbożność*. Na-

próżno tamtejsi działacze „narodowi" przysięgają wobec ludu na imię Piusa X i pokazują swe książki do nabożeństwa: lud nie wierzy w ich religijność gdyż dostrzegł, że ubierają się w nią, jak w zwierzchnią szatę wówczas tylko, kiedy wychodzą agitować. Lud nie wierzy tam w ich religijność, na tej samej zasadzie, dla której my tutaj uwierzyć nie możemy w ich umiłowanie — ludu!

A skoro *Gazeta Warszawska*, mimo to wszystko, utrzymuje, że Endecja nie zginęła, i że Endecja żyć będzie nadal, to porozumiejmy-ż się ściśle, co *chce* ona przez to powiedzieć. Niewątpliwie, siły i żywioły społeczne, które się na nią składały, — pozostaną; wszystkie przywary narodowe, na których ona swe fundamenty stawiła, także pozostaną; nie łudźmy się aby wraz z nią przepadły; próżność naszej szlachty, obojętność kulturalna mieszczaństwa, fanatyzm i nieporadność chłopa, chciwość i ambicje księdza — pozostaną i, po upadku Dem. Narodowej, istnieć będą równie, jak istniały przed jej powstaniem; ona ich bowiem nie stworzyła: ona z nich tylko korzystała, brała je na budowę swego „wszechpolskiego" gmachu; ona je tylko opromieniła blaskiem patrjotyzmu, wykazując ich przyrodzoną wartość, jako znamion duszy narodowej, i zalecając pielęgnować je, jako „rodzimy stan posiadania".

W takim tylko znaczeniu mówić można o przetrwaniu Endecji: w taki sposób rozumiana, istotnie, uchodzić może za potęgę niepożytą. A jeśli wcieleniem jej czynników, a raczej nałogów, duchowych jest Dmowski, to, oczywiście Dmowski jest nieśmiertelny.

Ale nie będzie to nieśmiertelność ruchu, pracy, myśli albo rozwoju: to będzie nieśmiertelność bezwładu, owo bezczynne trwanie głucho drzemiącej bryły, która odwiecznie legła w poprzek nurtów życia.

Potęga N. D-cji, w najżywotniejszej dobie jej wpływów, zasadzała się na teroryzowaniu inicjatywy samodzielnej, na zaniku myśli, skostniałej w ciężkim śnie. Mamiła ona kraj cały pozorami natężonej działalności, atoli istotna funkcja jej sprowadzała się jedynie, nawet w najgórniejszych jej chwilach, do wyzwolenia, do wydobycia na jaw i rozkołysania tych mętów, które obniżają i powstrzymują kulturę naszą oddawna. Nie wniosła ona pierwiastków nowych w życie, lecz tylko wywołała z mroku, ośmieliła i rozpętała instynkty ukryte barbarzyństwa, które nurtują w każdym społeczeństwie, buntując się przeciwko wymaganiom pracy rozwojowej.

Więc śmiech, ramion wzruszenie co najwyżej, powodować mogą dzisiejsze chełpliwe przechwałki rozbitków endeckich, którzy odpadnięcie od stronnictwa olbrzymiej liczby członków przedstawiają, jako wypadek dla siebie pożądany, w tym znaczeniu, że obóz, uwolniony od balastu żywiołów „nieodpowiedzialnych", zyska wewnętrznie na konsolidacji ideowej. „Dla Demokracji Narodowej, — pisze *Gazeta Warszawska* d. 9-go lipca, — zaczyna się okres, w którym obiecuje ona sobie jedną wielką przyjemność — mianowicie to, że członkowie stronnictwa będą mogli bez wahania brać odpowiedzialność całkowitą za wszystko co jest robione przez kogokolwiek w imieniu Demokracji Narodowej".

Możemy podziwiać uległość, z jaką N.-D-cja godzi się ze swym losem, niemniej stwierdzić musimy, że owe żywione przez nią nadzieje są natury zupełnie fantastycznej; śród paniki i oszołomienia, naiwnie lub nieświadomie, zostały one zapożyczone ze słownictwa partji lewicowych, odwołujących się na każdym kroku do przyszłości, którą obarczają zadaniem urzeczywistniania swych ideałów. Tamte acz liczebnie szczupłe, mogą działać na społeczeństwo szeroko i doniośle, bo idą i działają rozpędem idei, rozsadzając, niby kliny, wszelkie zapory, tamujące drogę postępu.

Ale jakaż jest idea Nar. D-cji, idea, na której — bezwzględne oparcie się i skonsolidowanie mogłoby zszarganemu stronnictwu zapewnić powagę moralną?

Władza była tą ideą, bezbrzeżna chęć panowania

---

3)

F. ARNSZTAJNOWA.

LUCANIOLO.

Dramat w 1 akcie

Lucaniolo

(podnosi ją i przyciska namiętnie do piersi)

Beato!... Umiłowana!...

Beata

Drogi... ty mię kochasz... ty swej dziewczyny
Nie wtrącisz w tę otchłań ciemną...
O Lucaniolo... jedyny...
Tyś mój... nieprawdaż?... tyś mój,
I nikt mi ciebie odebrać nie może...

(słychać kroki)

Idą już... Boże...
Lucaniolo... przyrzeknij...

(tuli się do niego w przerażeniu.)

Lucaniolo

(z wysiłkiem)

Przyrzekam... o, droga,
Duszę mą buntowniczą pogwałcę dla ciebie...
Lecz módl ty się, bym wytrwał...

(wypada Bacio del Bene)

Bacio

Książe pan nadchodzi.

Beata

Panno niepokalana, która w chmur powodzi
Świętymi stopami
Na księżyca srebnej opierasz się łodzi,
Módl się za nami,
Matko bolesna, siedmią porażona mieczy,
Twojej oddaję się pieczy.
Oddal, oddal grot ten, który w pierś mą godzi.
Ucieczko uciśnionych, błagam cię ze łzami,
Módl się za nami.
Synu Przeczystej Dziewicy,
Który po prawicy
Boga
Zasiadasz w niebie,

była i jest naczelną dążnością N. Demokracji. Żądza władzy była w niej tak niepohamowana, że, w pewnej chwili, nie mogąc siłą wziąć jej na miejscu, zapragnęła pokorą kupić ją w Petersburgu.

Czuć się wyłącznymi gospodarzami w kraju — oto nieprzedawnione marzenie przywódców D. Narodowej: rozdawać stanowiska, być szafarzem tytułów, orderów, znaków herbowych — to był ów boski „sen o potędze" Dmowskiego, z którego tak gorzko miał się obudzić.

Biorąc tedy pod uwagę te ich „dążenia„ i te ich „ideały", powątpiewać musimy, czy nawet najdobitniej, nawet najgłośniej okrzykiwane zdoła ją przysporzyć choć odrobinę szacunku Dmowskiemu i tej garści wiernych towarzyszów, którzy mu pozostali na rozkazy. A przytym, jakże to kontynuować oni będą politykę N. D-cji, która słuszność zdania swego opierała zawsze na przewadze liczebnej, przeciwnika gniotąc masą, ciężarem, legjonem zer? Uczuwszy nagle, iż się w mniejszości znaleźli, poczynają oni tabory swe ściągać z rozległych płaszczyzn społecznych i manifestacyjnie cofać się na wyżyny ideowe, dowcipnie przypominając sobie, że pośród opuszczonych skał, mieszkają na wyżynach — orły.

Atoli człowiek, przez to samo tylko, iż uległ złamaniu nogi, skrzydeł jeszcze nie dostaje! To, że chodzić on nie może po ziemi, jeszcze nie czyni zeń orła szybującego nad przepaście. Kogut zaś, oskubaz pierza, bynajmniej nie staje się przez to postacią tragiczną.

Tylko rozbujała fantazja, niepomna rzeczywistości, mogła podszepnąć ostatnim mohikanom endeckim krotochwilną myśl oszańcowania się na swym stanowisku ideowym, na jakimkolwiek zresztą stanowisku ideowym, bo wszak Demokracja Narodowa, sama przez się, stała się olbrzymią luką ideową w naszym kraju, stanowiąc właśnie zaprzeczenie ideowości wszelkiej w społeczeństwie.

Była ona pierwszą, od wielu pokoleń, elementarną próbą skupienia politycznego trzech zaborów na gruncie wspólnych haseł i usiłowań. Objęła koła niezmiernie szerokie, docierając do najdalszych wsi i miasteczek naszych, do najbardziej głuchych zakątów prowincji. Widomym przejawem jej siły było opanowanie na czas pewien przedstawicielstwa polskiego w dwu parlamentach. Atoli, od początku, miast iść w kierunku rzetelnej demokratyzacji społeczeństwa i kulturalnego dźwigania ludu, dała się unieść miazmatom przeszłości i, żeglując bez steru, zapłynęła na martwe wody szlacheckiej, sejmikowej tradycji. Jak wzrosła, takoż runęła szybko Wzrosła w oczach naszych, i w oczach naszych dzisiaj—dogorywa. Żywioły, które ona organizacją swą obejmowała, powracają znów do pierwotnego stanu jednostkowej atomizacji.

Czy rychło do bytu zbiorowego powoła je nowa polityczna formacja, — i jaka? A także, w jakim stopniu atomy owe uzdatnione są do wyłonienia ze swej mgławicy nowych politycznych konstelacji, — przyszłość okaże.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Sprawa marokańska w regularnych odstępach czasu powraca na porządek dzienny polityki mocarstw, sprawiając za każdym nawrotem wiele kłopotu zwłaszcza francuskim mężom stanu.

Istotnie, przyznać trzeba, że Marokko darowane Francji przez W. Brytanię wzamian za Egipt i Fachodę, jest bardzo kłopotliwym podarkiem; rzeczpospolita obraca go w palcach od lat siedmiu, nie wiedząc co z tym fantem robić.

Właściwie, byłoby najprościej i najracjonalniej— ze względu choćby na trwający w Maroku chroniczny chaos i brak bezpieczeństwa — zająć ten kraj i uzdrowić fatalne jego stosunki techniką rządów europejskich, na czym zyskałaby przedewszystkim ludność tabylcza. Tym planom ekspansji francuskiej sprzyja

---

I któryś krwi swej Boskiej przelał za nas strugi,
Wejrzyj na Twe sługi;
Panie,
Usłysz nasze wołanie,
Ratuj nas, ratuj w tej ciężkie potrzebie!

(Pod koniec tej modlitwy wchodzą dwaj paziowie i stają po obu stronach drzwi wchodowych. Za nimi książe, dalej kilku panów ze świty, którzy również grupują się przy drzwiach. Książe postępuje parę kroków naprzód, Baccio i Lucaniolo postępują parę kroków na jego spotknie, w pewnym oddaleniu zatrzymują się i pochylają w głębokim ukłonie. Beata również ukłon głęboki składa)

Książę

Witaj Lucaniolo... zasię nic ci nie pomoże,
Żeś się zaszył w pracowni, jako wilk w swej norze.
Zagrały już ogary, brzmią zwycięzkie rogi,
Osaczyły-ć myśliwce, i nim minie chwilka,
Choć się ukrył niezgorzej, — dopadniemy wilka.

Lucaniolo

Dzięki, panie, żeś wstąpić raczył w niskie progi.

Książę

Dziw nam był, żeś tak długo trwał w swej samotności,
Lecz, widzę, złote ptaszę w klatce z tobą gości...
(z lekkim ukłonem w stronę Beaty)
Rozumiem że i puszczę uprzykrzy niełacno,
Komu los zdarzyć raczył osłodę tak zacną.

Beata

(z głębokim ukłonem)
Wasza książęca mość zbyt łaskawie
Osobę moją oceniać raczy.

Książę

Piękna Beato... mógłżebym inaczej?
Ile, że widzę, jak daleko sięga
Nieposolitych wdzięków twych potęga...
Przedsię w swe pęta tak ujęłaś mistrza,
Że nas i dworu juz zaniechał prawie..

Beata

Wybaczcie, panie, iecz inna, świetlistsza
Zasię w swej mocy trzyma go mistrzyni,
Sztuka... i dla niej tę ofiarę czyni,
Że choć rozłąka serce mu zakrwawia,
Sam książęcego oka się pozbawia.

wyraźnie Anglja, natomiast przeciwi im się Hiszpanja i nadewszystko — Niemcy.

Monarchja iberyjska stawia zupełnie zrozumiałe żądania partycypacji w zyskach, zwłaszcza wobec poniesionych na brzegu afrykańskim ofiar w r. 1909-ym; to też porozumienie hiszpańsko-francuskie w sprawie Maroka nie przedstawia żadnych trudności.

Inaczej Niemcy. Prócz niewątpliwej oskomy zwłaszcza na koncesje i tereny górnicze w północnej części kraju, Niemcy mają inny, daleko ważniejszy powód do sprzeciwiania się akcji francuskiej. Pojmują one doskonale, że 20 miljonowa ludność Maroka odpowiednio zagospodarowana i wdrożona do norm europejskich, będzie dla Francji materjałem wojennym wielkiej wagi, który wypełni luki w rosnących wciąż kadrach militarnych. Francuskie imperjum kolonialne, wraz z Tunisem i Algierem, liczyłoby w takim razie 40 miljonów ludności bitnej i zdatnej do służby wojskowej; ztąd mogłaby Francja zaczerpnąć 1,500,000 czarnego żołnierza.

Oto powody, które skłoniły dyplomację niemiecką do przeciwdziałania zaborowi Maroka i w r. 1905 omal że nie doprowadziły do wojny.

Niezadowolone ze skutków umowy w Algeciras Niemcy czujnie śledzą bieg rzeczy, gotowe z pierwszej okazji skorzystać, by sprawę znów na ostrzu miecza postawić.

Taką okazją był ostatnio kryzys ministerjalny we Fracji, który sprawił pewne zamieszanie na *quai d'Orsay*.

I oto nastąpił ze strony Niemiec efektowny *coup de théâtre*, który można też nazwać *le coup d'Agadir*. D. 26 czerwca pp. von Kiderlen-Waechter i von Bethman-Hollveg mieli z cesarzem długą konferencję w Kilonji, na pokładzie jachtu *Hohenzollern*.

Nazajutrz krążownik *Berlin* wypłynął na morze w nieznanym kierunku; jednocześnie gruchnęła wieść o zamierzonej demonstrecji floty niemieckiej w porcie marokańskim Agadir. Wieść znalazła rychło potwierdzenie; tylko, by siłę efektu złagodzić, wysłano naprzód kanonierkę *Panther*, niewielki stateczek o 1000 tonn pojemności...

Mimo to akcja niemiecka wzbudziła sensację w Paryżu i Londynie. Na giełdzie powstała panika bardzo zresztą krótka, bowiem oba zaprzyjaźnione rządy ujawniły wobec kroków niemieckich wielką rezerwę i spokój zupełny.

Przy tej sposobności raz jeszcze wyszło na jaw specjalne powinowactwo interesów Francji i Anglji, które sprawia, że gabinet *S. James* śmielej i energiczniej broni sprawy francuskiej w Maroku, niż *quai d'Orsay*, skrępowane dość trwożliwym stanem umysłów we Francji, tudzież świadomością, że pierwsze brzemię ciosów teutońskich spadnie na alzacką granicę.

Ową świadomość umyślnie podsyca dyplomacja niemiecka żądaniem, by rokowania w sprawie Marokka prowadzić we cztery oczy, bez udziału mocarstw postronnych. Spodziewano się tym sposobem zastraszyć Francję i zmusić do daleko idących kompromisów.

Na tym polu spotkało dyplomatów niemieckich zupełne niepowodzenie, dzięki energicznej postawie Anglji.

Istotnie, p. Asquith, premier angielski, wystąpił w Izbie Gmin z deklaracją następującej treści:

„Pragnę, by zrozumiano wyraźnie, że rząd Jego Kr. Mości jest zdania, iż nowe położenie rzeczy w Maroku w przyszłych swoich skutkach mogłoby odbić się ujemnie na interesach angielskich. Mamy nadzieję, że kwestja będzie rozwiązana drogą *dyskusji dyplomatycznej*, w której *weźmiemy odpowiedni udział* w celu obrony naszych interesów oraz wypełnienia naszych zobowiązań, zawartych w umowie z Francją, nad którą nie mam potrzeby się tu rozwodzić". Deklarację premjera opatrzył *Times* takim komentarzem:

„Słowa p. Asquitha kładą kres nadziejom, żywionym w Niemczech, że będziemy się trzymać na uboczu w trakcie, kiedy Niemcy zawiążą rokowania z Francją i Hiszpanją co do przyszłych losów Maroka, i że mając w tym kraju rozległe interesa, moglibyśmy je pozostawić *à la merci* porozumień zawartych za naszymi plecami. Było to tak śmieszne mniemanie, że z ledwością uwierzyć można, by powzięto je w kołach odpowiedzialnych".

„Nie widzimy we Francji żadnych znamion, zdradzających tendecje po myśli tych, którzy spodziewali się skłonić rząd francuski do rokowań ubocznych, z których by przyjaciele Francji byli wykluczeni. Francja, jesteśmy tego pewni, okaże się równie wierną warunkom i duchowi zobowiązań swoich względem nas, jak i my jesteśmy wierni naszym względem niej zobowiązaniom".

Książe

Sztuka — wielka to pani .. w poświęcane gaje,
Kędy nad Kastalijską przebywa cysterną,
Darmo sięgać śmiertelnym snadź z prośbą zuchwałą,
Nic więc pono innego dziś nam nie zostaje...

Książe

Lucanio...

Lucaniolo

(z rozpaczą)

Paolo... Paolo...
O, coś uczynił z swą duszą, nieszczęsny...

Książę

(z rosnącym przerażeniem)

Luco...

Lucaniolo

Krew dziecka niewinnie przelana...
Okropność... patrz, patrz, jak sunie za tobą
Cień ten straszliwy...

(Książę z mimowolnym dreszczem ogląda się)

Ha... on na sąd Pana
Pójdzie za tobą i na czynów szale
Krwi tej niewinnej położy korale...

Książę

(ponuro)

Dość tego... tak się stać musiało... krew ta
Trysła nie darmo... chwiejące się węgły
Państwa podparła... i na długie lata
Tron umocniła...

Lucaniolo

Zali nie przysięgły
Twe usta ojcu w konania godzinę,
Że piersią własną osłaniać dziecinę
Będziesz i tron mu zachowasz nietknięty?
Także to dług swój wypełniłeś święty?
Hańba ci książę...

Książę

Hamuj się, Lucanio...
Mówisz do księcia swego...

Lucaniolo

Hańba tobie,
Że tak do mego księcia mówić muszę.

(Książę porywa się, jakby chciał wybuchnąć gniewem, ale po krótkiej walce zapanowawszy nad sobą mówi wyniośle)

Morning Post dodaje lakonicznie, ze znaczącym naciskiem:

„Pewne pisma niemieckie usiłowały wmówić w świa, że rząd niemiecki może rozstrząsać sprawę marokańską jedynie *téte-á-téte* z Francją. Wszelka próba w tym rodzaju wskazałaby wyraźnie, że istotnym celem Niemiec jest rozłączenie Anglji i Francji. Jasnym jest, że się ten manewr nie powiedzie. Rząd niemiecki nie zechce zapewne nalegać w tym sensie".

Jakoż opinja angielska miała słuszność. Widząc, że uczynili krok fałszywy, dyplomaci niemieccy pośpieszyli wycofać się z pozycji i dziś zatarg o Marokko, wyszedłszy z ostrej fazy, wkroczył w przewlekły okres preliminarzy do nowej konferencji międzynarodowej, która zapewne ujawni układ sił w sposób dla Niemiec raczej niekorzystny.

Polityka kompromisowa wobec ziemstw na kresach.

Ziemsta wyjątkowe, którymi obdarzono Litwę i Ruś, pomimo swej wyjątkowości i celu bojowego, t. j. walki z polskością i polonizacją, nie dają jednak spać nacjonalistom rosyjskim, wzruszają i niepokoją ich do głębi. Nic nie pomogły wielkie przywileje, nadane żywiołowi rosyjskiemu; na nic odsunięcie polaków do ostatnich szeregów i wyznaczenie im roli biernej, sługusów na stanowiskach podrzędnych. Tego wszystkiego jeszcze zamało. Niepokój budzą chłopi—białorusini i rusini, którzy jakkolwiek uważani są za żywioł rosyjski nie budzą jednak zaufania. Wprawdzie i na nich jest sposób, umiano z nimi radzić sobie w ziemstwach dotychczasowych, urzędniczych, są na nich także sposoby w ztemstwach obecnych—wyjątkowych. Ale zawsze żywioł ten będzie wytwarzał wiele kłopotu i niepokoju.

Takie jednak ziemstwa, w których bądź co bądź, z chłopami trzeba robić chociaż minimum ceremonji, nie mogą cieszyć się uznaniem nacjonalistów. Tylko urzędnik może zrobić nowe ziemstwo pożytecznym i rosyjskim.

„Dopuścić włościan do udziału szerokiego, to znaczy nadać ziemstwom ten charakter, który czyniłby je niemożliwemi do przyjęcia,—jako organizacji przeciwrządowej". W takim duchu wypowiedział się nacjonalistyczny *Podolanin*. Zresztą zdaniem owego pisma i wielu mu pokrewnych, włościaństwo jeszcze nie dorosło do organizacji samorządnych i może być tylko „mięsem wyborczym".

W dotychczasowych ziemstwach urzędniczych włościanie brali udział z wyboru... przez administrację.

Największy kłopot sprawiają włościanie, którzy muszą być wybierani od zgromadzeń gminnych. Reforma ta doprowadzi do rewolucji,—wołają nacjonaliści—Petersburg zanadto sobie pozwala na „liberalizm"!—mówią ze zgrozą urzędnicy kresowi...

Ale wybory od zgromadzeń gminnych są jednak załatwione; na wszystko bowiem są sposoby, dzięki długoletnim praktykom wszechwładztwa urzędniczego.

Oto jaki obraz kreśli korespondent *Mińskiego Słowa* z Podola:

„Wybory od zgromadzeń wiejskich odbyły się. Nikt o nich nie wiedział w miastach. Przeszły one cicho, intymnie. Nie zdołano pary z ust wypuścić, gdy 29 ludzi wybrali nacjonaliści".

Pewien włościanin,który mieszkał w Kamieńcu Podolskim, chciał się dostać do szeregu radnych i w tym celu pojechał do swojej gminy. Ale tam mu powiedziano:

— Za późno! Wybory już się odbyły.

— Przecież o dniu wyborów nie było wiadomo.

— Nie jesteśmy obowiązani ogłaszać!

Wybory zaś załatwiono w sposób bardzo prosty: Gubernator polecił „pośrednikom mirowym" wyznaczyć zebrania gminne pewnego dnia i wybrać na nich po dwu kandydatów. Mirowi pośrednicy nakazali dokonać wyborów w gminach. Ani oni, ani też gubernator nie są obowiązani do obwieszczania *orbi et urbi* tych swoich rozporządzeń. Wogóle nikt o tem nie wiedział. Nawet w *Podolaninie* nie ogłoszono. Wszystko robiono tak, ażeby nie było „niemiłych niespodzianek". W wyznaczonym do wyborów dniu „dziesięciodniowym" zakomunikowano rozporządzenie: —Marsz do gminy na wybory!

„Wielu nawet nie wiedziało, do jakiej instytucji należy wybierać. Inni może wiedzieli, ale słowa „ziemstwo" i to—„nowe", nie rozumieli wcale. Jaka jest rola ziemsta, co ono przynosi włościanom, kto będzie mniej lub więcej pożytecznym w charakterze rad-

---

Książę

Mój Lucaniolo, tyś artysta wielki,
Lecz państwowego ducha ni kropelki
Widzę-ś nie posiadł... trudna rządów księga
Snadź nie każdemu swe karty odsłania..
Niech więc twój rozum po tajnie nie sięga,
Których nie dorósł... czyń każdy, co zdoła.
Mnie zostaw ciężar i trud panowania,
Ty patrz, by ryły w tych marmurów łonie
Pamięć mych czynów twe natchnione dłonie:
Potomność sąd swój nad nami obwola.

Lucaniolo

Jaż potomności twoje imię krwawe
Mam przekazywać?.. nigdy! raczej skruszę
Własnemi dłońmi czyste łono bryły,
Niżby ją takie runy pohańbiły.

(całym rozmachem młota uderza w posąg, głowa jednej postaci spada z łoskotem na podłogę)

Książę

(chwytając ramię Lucaniola)

Szaleńcze!...

(Na hałas spowodowany uderzeniem wpadają Bacio, Beata, świta, paziowie przerażeni)

Bacio del Bene

(widząc Lucaniola z młotem w ręku i trzymającego go księcia, chwyta Lucaniola za drugie ramię)

Prze Bóg!.. śmiałżeby się targnąć
Na świętą swego książęcia osobę!...

Beata

Panno najświętsza!...

(Lucaniolo wypuszcza z dłoni młot i ukrywa twarz w dłoniach. Świta otacza z niepokojem księcia; słychać pojedyncze głosy)

I: Co?
II: Co się stało?

Bacio

Książe nie raniony?

Książę

Uspokójcie się, proszę... nic się tu nie stało...
Zemstę tylko artysta tu wywarł nie krwawą
Nad swym posągiem... wrzawę tem czyniąc niemałą...
Smiercią karać swe dzieła... wszak to mistrza prawo.

(śmieje się z przymusem)

D. N.

nego—tych wszystkich kwestji nie było kiedy wyjaśnić „dziesięciodniowym“. Trzeba było się śpieszyć“.

Oto zwykła procedura wyborów:

— Trzeba wybrać dwu pełnomocnych do ziemstwa! —woła pisarz do tłumu włościan.

— Jeżeli trzeba, to wybierzemy...

— Najodpowiedniejszymi ludźmi są: Douhoczchun i Pererepenko.

— No, niech sobie idą do ziemstwa!...

Obaj wymienieni są kandydatami mirowego pośrednika. Jeszcze przed wyborami wydał on wójtowi i pisarzowi rozkaz „wybrać!"

— W ten sposób wszyscy wypróbowani pracownicy poprzednich ziemstw urzędniczych niewątpliwie się znajdą w ziemstwach nowych „liberalnych„.

Trudniejsza jest sprawa z polakami, *przeciwko* którym ziemstwa właśnie są stworzone. Tu już nie można nakazać wyboru tego lub innego kandydata. Nie można także ukryć terminu wyborów. Są natomiast inne sposoby unieszkodliwienia żywiołu polskiego w samym prawie, stworzonym dla ziemstw, t. j. usunięcie polaków, jak rzekliśmy, do roli podrzędnych wykonawców, których „rzecznikami" będą przedstawiciele ludności rosyjskiej.

W takich warunkach można było przewidzieć albo bierną rezygnację, albo bojkot ziemstw... wyjątkowych, t. j. stworzonych z jednej strony dla ludności polskiej, jako prawa *wyjątkowe*, z drugiej dla ludności rosyjskiej, jako *przywilej* dla uprzywilejowanych. Bojkot był tylko myślą przelotną, w większości zaś przyjęto rezygnację... ugodową, t. j. postanowiono wziąć udział nawet w takich ziemstwach. Rezygnacja ta ma pewien odcień, wielce charakterystyczny, który wyraźnie się zaznacza w wynurzeniach pewnego działacza—właściciela ziemskiego z Podola. Oto jak on wyjaśnił stanowisko i politykę polaków—wielkich właścicieli ziemskich na kresach, w rozmowie z p. Pankratowem, współpracownikiem *Russkiego Słowa*:

— My się wcale nie interesujemy reformą, bo nas odosobniono i dano nam udział bardzo nieznaczny. Z 402 radnych ziemstw powiatowych (w gub. Podolskiej) polaków będzie zaledwie 57. W ziemstwie gubernialnym—11-tu na 63.

Z początku śledziliśmy projekt prawa; sądziliśmy, że opozycja wniesie poprawki zasadnicze. Ale gdy prawo przeszło w formie obecnej, zrozumieliśmy, że daje ono siłę tylko tym, którzy na prawach wyjątkowych robią karjerę urzędniczą w naszym kraju.

Teraz wprost zapomnieliśmy o reformie. Zrazu panowała śród nas myśl, że należy bojkotować ziemstwa. Ale ta ustąpiła innej myśli: Mamy posłać swych przedstawicieli, ale postanowiliśmy w danym wypadku nie zajmować płatnych posad z wyboru. Z poprzednich ziemstw administracyjnych wiemy, że tłusty kąsek ziemski jest przedmiotem pożądań rusyfikatorów naszego kraju. Po co mamy dawać im możność zwalania swoich wykroczeń na nas? Wystarczy jednego polaka w tym zarządzie, w którym będą trwonione pieniądze ziemskie, ażeby zawołano: „To wszystko robią polacy!...“

— Ale zebrania przedwyborcze przecież panowie będziecie mieli?

— Zbierzemy się gdziekolwiek w restauracji przed wyborami, porozmawiamy... Prawo zrobiło to, że my, właściciele prawie wszystkich wielkich dóbr ziemskich w gubernji, prowadzący osobiście gospodarstwo, wcale się nie interesujemy ziemstwami.

Gdyby nacjonaliści mieli po za sobą życiową siłę realną nie baliby się polaków. Ale oni są słabi, istnieją tylko dzięki prawom wyjątkowym i dla tego się boją. Boją się nas, żydów, włościan. Kogo się nie boją?! Nie rozumieją jednego: że polacy—właściciele ziemscy w naszym kraju są żywiołem bardzo zachowawczym i nie wyzyskaliby ziemstw dla swoich interesów *ciasno polskich*. W Królestwie Polskim—to co innego;—tam polityka. U nas zaś *polacy—to wielcy właściciele ziemscy*".

Tę zachowawczość, podkreśloną przez podolskiego obszarnika oraz lojalność żywiołu ziemiańskiego na kresach zaznaczają tak że i ci nacjonaliści rosyjscy, którzy z nim bezpośrednio się zetknęli. P. Aleksandrow, prezes rządu gubernjalnego stwierdza, że polacy w poprzednich ziemstwach administracyjnych wcale nie usiłowali przeprowadzać swoich tendencji, że byli bardzo dobrymi i pożytecznymi pracownikami; że w komitetach nigdy nie było żadnych waśni i rozterek na tle narodowym, że wogóle polacy nie wprowadzali polityki. W takim razie naturalną drogą logiki nasuwa się wniosek, że żywioł tak wszechstronnie lojalny i poprawny powinien uzyskać równouprawnienie w ziemstwach. Ale wniosek ten zbija inna, specjalna logika biurokratycznych sfer sterniczych która wrosła do głębi umysłów wszystkich nacjonalistów rosyjskich, a więc i p. Aleksandrowa. Wręcz on twierdzi: „Polakom nie można dać równouprawnienia w ziemstwach, bo jesteśmy pewni, że gdy oni poczują siłę, natychmiast wniosą do ziemstw interesy polskie.

A jednak owi polacy, którzy nie są niczym innym, jeno *tylko właścicielami ziemskimi*, pomimo kategorycznych zapewnień biurokracji, że nigdy nie otrzymają równouprawnienia w ziemstwach, potrafili z nim się pogodzić i nawet optymistycznie patrzeć w przyszłość przez pryzmat polityki kompromisowej. Zdaniem ich obecne *ziemstwa wyjątkowe* są krokiem naprzód, gdyż zasada wyborcza daje polakom—nadzieje, nawet *wielkie nadzieje* (sic!).

„Jesteśmy teraz ograniczeni w prawach, ale przyjdzie chwila, kiedy nam dadzą te prawa. Wszakże przed siedmiu laty ziemstwo Plewego było uważane za akt wyższej mądrości politycznej, a dziś jako niezdatne, jest odrzucone. Nikt z ncjonalistów na kresach przed siedmiu laty nie mógł przypuszczać, że będzie mówił o „dobrodziejstwach samorządu", wyższości zasady wyborczej, a teraz wciąż mówią o samorządzie, jakkolwiek pojmują go ciasno, w sposób biurokratyczny. Przyjdzie czas, kiedy nas, jako tutejszych właścicieli ziemskich, powołają do ziemstw na równych prawach z innymi. Zresztą i obecnie mamy prawo żądania od naszych radnych wszelkich urządzeń, mamy prawo krytykowania ich robót. Tak! Przedstawicielowi z wyboru mamy prawo stawiać swe żądania, czego nie moglibyśmy czynić wobec urzędników ziemskich".

W słowach tych mieści się cała kwintesencja polityki kompromisowej.

Zenon Pietkiewicz.

Listy z Krakowa.

VI.

Zjazd miłośników ojczystych zabytków sztuki i historji.—Związek Towarzystw Ochrony piękności kraju.

Sztuka i historja to poza polityką najpopularniejsze przedmioty zainteresowania w podwawelskim grodzie. O poezji i literaturze współczesnej mało kto wie i mówi, o nowych dorobkach i starych zabytkach sztuki wciąż rozprawia przeciętny ogół. Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby ten ogół odczuwał je lub rozumiał. Może przecież istotnie jest na nie mniej obojętnym, niż publiczność warszawka. Jest przeto nadzieja, że z Krakowa wyjdzie z czasem owo historyczne podłoże artyzmu polskiego, niezbędne każdej narodowej sztuce. Ale rzecz to przyszłości.

Istnieje wprawdzie w Galicji od lat wielu instytucja konserwatorów, na których stanowiska powoły-

wani są różnorodni specjaliści, ponieważ przedmioty, jakie pozostawiła przeszłość do różnorodnych należą dziedzin. Tworzą oni dwa grona na Zachodnią i Wschodnią Galicję i dzielą się na sekcye Zabytków przedhistorycznych i wykopalisk, Zabytków sztuki i pomników historycznych oraz Archiwów. I te działy nie wyczerpują jeszcze zabytków, któreby należało uratować od zagłady. Galicja Wschodnia np. ma mnóstwo przedmiotów sztuki orjentalnej, bogate okazy starego złotnictwa, zbiory pasów pochowane w pańskich dworach, porcelany, hafty, koronki. Każda z tych gałęzi wymagałaby specyalnych studjów i znawstwa, a zatem liczbę osób zatrudnionych przy konserwowaniu należałoby powiększyć, wciągnąć do pracy panie z dworów i pałaców, a szczególniej udzielić powołanym do konserwowania możności egzekutywy, bez której polecenia ich bardzo często powiększają liczbę życzeń pobożnych.

Tymczasem zaś najważniejszym, nieosiągniętym dotąd postulatem. jest przeprowadzenie inwentarza wszystkich zabytków dawnych, bez którego i samo ich zachowanie jest niezmiernie utrudnionem i powszechnem być nie może. Zinwentaryzowania takiego dokonano już w Poznańskiem, ale przeprowadzili je Niemcy.

Na zjeździe, obesłanym dość licznie przez delegatów z całej Galicji, Poznańskiego i Królestwa, który zasiadał w Krakowie d. 3 i 4 b. m., wzięto pod obrady samo pojęcie konserwowania [1]), sprawę muzeów i kościołów. Konserwowanie, do jakiejkolwiek kategorji zabytków by się odnosiło, wyklucza dziś dopełnianie w stylu d awnych wieków, ozdabianie, a nawet odnowę. Chodzi iedynie o to, aby ubezpieczyć przed zniszczeniem, rozpadnięciem się ruiny, uszanować charakter zabytku najdawniejszy i wszystkie wprowadzone doń w biegu wieków dawnych zmiany. Rozstrzyga to poniekąd tylekroć podnoszoną kwestję restauracji Katedry i Zamku na Wawelu, gdzie każdy wiek niemal dodawał swoje przybudówki, pomniki, obrazy, ornamenta i gdzie trudnem byłoby ustalenie zasadniczych motywów, gdyby renowację do nich tylko chciano dostosować.

Konserwowanie ruin demonstrowano na zamku w Tęczynie pod Krakowem, gdzie architekt Kazimierz Wyczyński wykazywał zastosowanie ogólnych zasad na przykładzie Tęczynka, zaś artysta-ogrodnik dr. Stanisław Goliński, mówił o wpływie i znaczeniu nietylko na estetykę, ale i na utrwalenie ruin, roślinności, która ożywia kamienie i dodaje im wymowy i wdzięku.

Ciekawe światło rzucił w odczycie swoim o Muzeach, na stosunek ich do dawnej i współczesnej sztuki prezes grona, dr. Stanisław Tomkowicz. Sprawa tworzenia muzeów jest u nas na porządku dziennym, zwłaszcza we Lwowie i w Warszawie. W stadjum dzisiejszym naszej kultury uważamy je za niezbędne —jej dowody i dążymy do zakładania. Tymczasem na Zachodzie pod wpływem Ruskina muzea nazwane już zostały katakumbami sztuki. Pomimo to znaczenie ich pedagogiczne i konserwatorskie zniewala do rozszerzenia dawnych i tworzenia coraz nowych. Do muzeów przenosić należy okazy, którym w miejscu ich obecnego pomieszczenia grozi niebezpieczeństwo zagłady, oraz te, które nie mająwłaściwego dla siebie otoczenia. Przeniesienie rzeźby z pałacu, na którym stanowiła ona przez wieki całe niezbędną część fasady, będzie nie mniejszym barbaryzmem, niż pozostawienie jej w wilgotnej zapomnianej piwnicy.

Konserwacja kościołów, której poświęcono jedno posiedzenie Zjazdu omawiana przez księży znawców Kowalskiego i Góryńskiego ma u nas znaczenie pierwszorzędne. W kościołach zarówno pod względem ich struktury zewnętrznej, jak ołtarzy, dywanów, aparatów i t. p. kryje się dotąd mnóstwo dowodów starej naszej kultury artystycznej. Niewykształceni proboszcze wyrzucają częstokroć stare rupiecie, a przy budowaniu i odnawianiu kościołów unieszczęśliwiają wprost swymi żądaniami architektów i malarzy, — dekoratorów. Brak wykształcenia estetycznego i historycznego zmysłu u duchowieństwa, które na tym polu wiele może zdziałać, a także bardzo wiele zaprzepaścić, wywołał żądania zaprowadzenia wykładów o sztuce i konserwacji zabytków w seminarjach duchownych.

Całkiem inne, jakkolwiek pokrewne do konserwatorskich zadania, stawiają sobie Towarzystwa Ochrony piękności kraju, których zjazd odbył się w d. 26 m. Chodzi tu o strzeżenie zewnętrznego piękna miasta i wsi polskiej, oraz o utrzymanie go w charakterze narodowym. Zasady, którym Towarzystwo hołduje, wyłożone zostały w obszernej, pięknie wydanej broszurze skreślonej piórem p. Ewy Łuskiny (W obronie piękności kraju). Towarzystwo ma dziś już filje we Lwowie, Sanoku, Rzeszowie, Podgórzu i Wieliczce, dążące wszędzie do ochrony krajobrazu przed oszpeceniem, tak hojnie pleniącym się na podłożu kapitalistycznej tandety, w mniemanych upiększeniach.

W Krakowie, gdzie na czele Towarzystwa stoi dr. St. Goliński a wydział składa się z malarzy, rzeźbiarzy, architektów zwrócono obecnie specjalną uwagę na znane w całej Polsce Planty, które wieńcem zieloności ujmują stare miasto. Prześlicznie wydana i bogato ilustrowana broszura [2]) z planem plantacji, wykonanym po raz pierwszy dla Plant współczesnych, daje dokładny obraz historji ich powstania, rozwoju i potrzeb dzisiejszych.

Po za tym Towarzystwo rozpowszechnia przez konkursy zdobienie domów i zaułków roślinnością nadzoruje wystawy sklepowe, zajęło się sprawą plakatów, i szyldów. Toczy ono również homeryczne boje przeciw wszelkiego rodzaju cyrkom, strzelnicom kawiarniom stawianym na Błoniach i Plantach oraz zaciętą walkę przeciw postawieniu pomnika Kościuszki na Krakowskim Rynku.

Ostatniej sprawie poświęcić należy specjalnie słów kilka, gdyż liczne protesty artystów z Paryża, Lwowa, Krakowa przeciw postawieniu pomnika, oraz popularna osobistość artysty — malarza Włodzimierza Tetmajera, obecnego posła do Rady państwa dały jej wielki rozgłos. Otóż pomnik nie jest ani ładny, ani orginalny, należałoby go raczej skromnie ukryć, niż stawiać na tle przepięknej architektury. Poza tym estetyka dzisiejsza sprzeciwia się stawianiu pomników na wielkich placach. Skoro zatym pomnik stanąć będzie musiał, skoro są ludzie uznający, iż Kościuszce należy się pomnik, oprócz kopca górującego nad miastem, niechże przynajmniej uszanują charakter Rynku.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

BADANIA NAUKOWE.

Prawda a Rzeczywistość.

(Rzecz o istocie pragmatyzmu).

(Dokończenie).

Cóż to jest sąd prawdziwy?

Prawdziwym nazywamy twierdzenie zgodne z rzeczywistością. Ale na czym polegać może owa zgodność? Jesteśmy skłonni widzieć w niej coś takiego, jak podobieństwo portretu do modela: twierdzenie prawdziwe ma być *kopją* rzeczywistości. Lecz

[1]) Referat p. J. Muczkowskiego.

[2]) Napisana przez dr. F. Kleina.

zastanówmy się nad tym: zobaczymy, że w rzadkich, jedynie wyjątkowych razach, to określenie prawdy znajdzie zastosowanie. Rzeczywistymi bywają tylko określone, te lub inne, zjawiska, zachodzące w tych lub innych punktach czasu i przestrzeni, zjawiska poszczególne, zjawiska podlegające zmianom. Tymczasem twierdzenia nasze, w większej części, są ogólne, i każą przypuszczać pewną stateczność przedmiotów, które określają. Weźmy prawdę możliwie najbliższą doświadczenia, np. tę: „Ciepło powoduje rozszerzanie się ciał". Czyją, jakiej rzeczywistości może być ona kopją? Jest rzeczą możliwą, do pewnego stopnia, skopjować rozszerzanie się pewnego ciała w określonych momentach, fotografując je w kolejnych fazach. Mogę nawet, pod przenośnią, powiedzieć, iż twierdzenie: „ten pręt żelazny się rozszerza" jest kopją tego, co się dzieje, gdy jestem świadkiem rozszerzania się żelaznego pręta. Prawda atoli, która stosowść się ma do wszystkich ciał, nie wyszczególniając wyłącznie żadnego z tych które widziałem, żadną nie jest kopją i nic nie odtwarza. Niemniej, pragniemy jednak, aby czyjąś kopją była, i od niepamiętnych czasów filozofja stara się to nasze pragnienie zaspokoić. Dla filozofów starożytnych, istniał, ponad przestrzenią i czasem, świat, w którym miały swą siedzibę, od wieków wiecznych, wszelkie możliwe prawdy: twierdzenia ludzkie, dla nich, były tym prawdziwsze, im wierniej odbijały w sobie owe prawdy wiekuiste. Nowocześni sprowadzili prawdę z nieba na ziemię; dotąd jednakże widzą w niej coś, co istnieje i istniało, nim powstały jeszcze nasze twierdzenia. Prawda, rzekomo, złożona jest w rzeczach i w zjawiskach: zadanie wiedzy polega na tym, aby ją pójść wyszukać, dobyć z ukrycia, wyprowadzić na jaśnię. Twierdzenie tego rodzaju, jak „ciała rozszerzają się od ciepła" — ma być prawem, które rządzi zjawiskami, które króluje, jeśli nie ponad nimi, to, w każdym razie, pośród nich; prawem, które istotnie zawarte było w naszym doświadczeniu, i które dość było stamtąd wydobyć! Nawet filozofja tego pokroju, co Kanta, uznająca wszelką prawdę naukową za względną w stosunku do umysłu ludzkiego, poczytuje twierdzenia prawdziwe jako dane z góry w doświadczeniu ludzkim: skoro więc doświadczenie to zostanie uorganizowane przez mysl ludzką w ogólności,to cała praca nauki polegać już tylko będzie na przebiciu opornej powłoki zjawisk, wewnątrz których prawda kryje się, jak orzech w łupinie.

To pojęcie prawdy jest wrodzone naszemu umysłowi i wrodzone także filozofji, ponieważ jest rzeczą wrodzoną nam wyobrażać sobie rzeczywistość jako doskonale spojoną i ułożoną Całość, którą podpiera wiązadło logiczne. Owo wiązadło—to ma być właśnie prawda; zadaniem nauki naszej bywa tylko ją odnaleźć Wszelako czyste zwykłe doświadczenie nie mówi nam nic podobnego, a James polega wyłącznie na doświadczeniu. Doświadczenie przedstawia nam falę zjawisk: jeśli takie lub inne twierdzenie, dotyczące jednego ze zjawisk, pozwala nam zapanować nad tymi, które ponim nastąpią, albo nawet poprostu przewidzieć je tylko, wtenczas o twierdzeniu tym utrzymujemy, że jest prawdziwe. Zdanie takie, jak: „ciała rozszerzają się od ciepła", zdanie, poddane przez widok rozszerzania się pewnego ciała, sprawia, iż przewidujemy, w jaki sposób inne zachowywać się będą w obecności ciepła; pozwala nam ono przechodzić od doświadczenia dawnego ku doświadczeniom nowym: jest to nić przewodnia, nic więcej. Rzeczywistość płynie; my płyniemy wraz z nią: prawdziwym zaś mienimy wszelkie twierdzenie, które wiodąc nas poprzez ruchomą rzeczywistość, daje nam władzę nad nią i stawia nas w lepszych warunkach do działania.

Snadno widać różnicę między tym pojęciem prawdy, a jej pojęciem tradycyjnym. Zazwyczaj określamy prawdę przez zgodność jej z tym, co już istnieje: James określa ją przez stosunek jej do tego, co nie istnieje jeszcze.

Prawda, według Williama James'a, nie odtwarza czegoś, co jest, lub, co było: zapowiada ona to, co będzie, a raczej przygotowywa nasze działanie na to, co ma nastąpić. Filozofja posiada dążność wrodzoną ku temu, aby prawda spoglądała wstecz: dla James'a zaś spogląda ona naprzód.

Ściślej biorąc, inne doktryny uważają prawdę za rzecz poprzedzającą ów określony akt człowieka, który formułuje ją po raz pierwszy. Człowiek ten spostrzegł ją pierwszy, powiedzmy, wszelako ona nań czekała, podobnie, jak Ameryka czekała na Krysztofa Kolumba. Coś ukrywało ją przed oczyma wszystkich, niejako, ją zasłaniało; on zaś *odkrył* ją.

Zupełnie inaczej wygląda pojęcie Williama James'a. Nie przeczy on, iż rzeczywistość pozostaje niezależna, przynajmniej w znacznym stopniu, od naszych sądów o niej i myślenia; prawda, atoli, która dotyczyć może jedynie tego, co twierdzimy o rzeczywistości, wydaje mu się wytworem naszego właśnie twierdzenia. My wynajdujemy prawdę, aby spożytkować rzeczywistość, podobnie jak tworzymy przyrządy mechaniczne, aby spożytkować siły przyrody. Sądzę, iż możnaby streścić całą sitote pragmatycznego pojmowania prawdy w formule następującej: d l a w s z e l k i c h i n n y c h d o k t r y n n o w a p r a w d a b y w a o d k r y c i e m, g d y t y m c z a s e m d l a p r a g m a t y z m u b y w a — w y n a l a z k i e m.

To nie znaczy, aby prawda była pomysłem dowolnym. Wartość wynalazku mechanicznego zależy jedynie na jego użyteczności praktycznej. Podobnież, twierdzenie, będące prawdą, powinno potęgować władzę naszą nad przedmiotami. Nie przestanie być ono przez to wytworem pewnego indywidualnego umysłu; nie istniało ono przed wysiłkiem owego umysłu, jak fonograf np. nie istniał przed Edisonem. Bez wątpienia, wynalazca fonografu musiał badać własności dźwięku, który jest rzeczywistością. Ale wynalazek jego stał się jakoby dodatkiem do owej rzeczywistości, stanowiącym rzecz bezwzględnie nową, która, być może, nigdyby nie powstala, gdyby on nie był istniał Prawda tedy, aby zyskać żywotność, tkwić musi korzeniem w świecie rzeczywistości, ale ów świat rzeczywistości, bywa jedynie gruntem, na którym ta prawda wyrasta, a rosłyby tam równie dobrze inne kwiaty, gdyby wiatr tam rozsiał inne nasienie.

Prawda, według pragmatyzmu, powstawała więc powoli, dzięki zdobyczom jednostkowym wielkiej liczby wynalazców. Gdyby wynalazcy ci nie istnieli, gdyby inni byli zamiast nich, posiadalibyśmy zespół prawd zupełnie różny. Rzeczywistość pozostalaby, oczywiście, tym czym jest, lub prawie tym; ale inaczej wówczas wytknięte byłyby drogi, po których krążyćby nam wypadło. A bynajmniej nie chodzi tu tylko o prawdy naukowe. My dzisiaj zdania jednego nie możemy zbudować, nie możemy słowa wymówić, aby nie przyjąć jakiejś hypotezy, przez przodków naszych stworzonej, hypotezy, która mogła była być całkiem inna, niż jest. Gdy mówię: „ołówek mój upadł pod stół", nie wypowiadam, oczywiscie, faktu doświadczenia, to bowiem, co wzrok i dotyk mi oznajmiają, ogranicza się do faktu, że dłoń ma się rozwarła i upuściła rzecz trzymaną: nie nowlę, owiązane w kolebce, widząc, że przedmiot którym się bawiło, spada, nie wyobraża sobie zapewne, iż przedmiot ów istnieje nadal; a raczej nie posiada ono wyraźnego pojęcia „przedmiotu", t. j. czegoś co trwa niezmienne i niezależne, skroś różnorodność i ruchomość pozorów przemijających. Pierwszy, kto wpadł na pomysł owego niezmiennego i niezależnego trwania, stał się twórcą hypotezy: hypotezą tą posługujemy się stale, ilekroć używamy rzeczowników, ilekroć mówimy. Inna byłaby gramatyka nasza, inne byłyby tryby naszego myślenia, gdyby ludzkość,

na przestrzeni swego rozwoju, przyjęła była inne hypotezy.

Budowa naszego umysłu w znacznej przeto części naszym jest dziełem, lub, przynajmniej, dziełem niektórych z pośród nas. Tu spoczywa, najważniejsza, zda mi się, teza pragmatyzmu, aczkolwiek nie została ona jeszcze jasno wyrażona. Przez nią to pragmatyzm staje się dalszym ciągiem kantyzmu. Kant orzekł, iż prawda zależna jest od ogólnej budowy umysłu ludzkiego. Pragmatyzm dodaje, lub conajmniej, przypuszczać każe, że budowa umysłu ludzkiego jest wynikiem twórczych pomysłów pewnej liczby jednostek.

Nie znaczy to, raz jeszcze, iż prawda zależy od każdego z nas: takąż bowiem wartość miałoby twierdzenie, że każdy z nas potrafiłby wynaleźć fonograf. Ale to znaczy, iż śród rozmaitych rodzajów prawdy, najbliższą swego przedmiotu nie jest ani prawda naukowa ani prawda zdrowego rozumu, ani, wogóle, prawda natury rozumowej; wszelka prawda bywa drogą, wytkniętą skroś rzeczywistości; wszelako, pośród dróg owych, istnieją takie, którym moglibyśmy nadać kierunek odmienny, gdyby uwaga nasza poszła była w inną stronę, albo gdybyśmy inny rodzaj pożytku mieli na widoku; istnieją zaś, przeciwnie, i takie, których kierunek znaczony jest przez samą rzeczywistość; te ostatnie odpowiadają, jeśli tak rzecz można, prądom rzeczywistości. Bezwątpienia i one zależą także od nas, w pewnej mierze, gdyż mamy wszelką możność pójść za prądem albo mu się oprzeć, a nawet wówczas, gdy z nim idziemy, możemy w różne strony go wyginać, albowiem podlegając sile, która się w nim przejawia, jednocześnie z nią współdziałamy. Niemniej pozostaje prawdą, że prądy owe nie są naszym wytworem; stanowią one część integralną rzeczywistości.

Pragmatyzm tedy doprowadza do odwrócenia porządku, w którym przywykliśmy rozmieszczać różne rodzaje prawdy. W ten sposób, po za prawdami czuć pierwiastkowych, najgłębiej tkwiłyby korzeniami w rzeczywistości — prawdy uczuciowe.

Jeśli zgodzimy się na to, że wszelka prawda bywa wynalazkiem, to utrzymując się w szrankach poglądu Williama James'a, wypadnie ustalić między prawdami uczuciowymi a prawdami naukowymi ten sam rodzaj różnic co między statkiem żaglowym, naprzykład, a statkiem parowym: i jeden i drugi są wynalazkami człowieka; atoli w pierwszym sztuka nieznaczną gra rolę; przybiera on kierunek wiatru i uwidocznia oczom siłę przyrodzoną, którą zużytkowywa: w drugim natomiast, mechanizm sztuczny zajmuje najważniejsze miejsce; ukrywa on siłę, która w nim działa, i nadaje sile tej kierunek, dowolnie przez człowieka obrany.

James'a określenie prawdy ściśle wiąże się więc z jego pojmowaniem rzeczywistości.

Jeśli rzeczywistość nie jest owym wszechświatem, ekonomicznie i harmonijnie złożonym, jakim zazwyczaj przedstawia ją sobie logika, jeśli rzeczywistości tej nie wspierają wiązadła rozumowe, to prawda rozumowa jest wynalazkiem ludzkim, przeznaczonym raczej do spożytkowania rzeczywistości, niźli jej odzwierciadlania. Skoro zaś rzeczywistość nie tworzy żadnego zespołu, skoro jest wieloraka i ruchoma, złożona z mnóstwa krzyżujących się prądów, to prawda, rodząca się z powzięcia styczności z którymkolwiek z owych prądów, — prawda odczuta, nim została pojęta, — przydatniejszą bywa, niż prawda rozumowa, do uchwycenia i nagromadzania rzeczywistości.

Krytyka pragmatyzmu, powinna przeto zwrócić się przedewszystkim przeciw owej teorji rzeczywistości. Można przeciwko niej stawić zarzuty rozmaite, — pewne zastrzeżenie jabym sam poczynił, — nikt wszakże nie odmówi jej głębi ani oryginalności. Nikt też, zapoznawszy się bliżej z pojęciem prawdy, jakie się z nią łączy, nie może nie uznać jej wyniosłości moralnej. Powiadano, iż pragmatyzm James'a jest tylko pewną postacią sceptycyzmu, że obniża powagę prawdy, że podporządkowywa ją użyteczności materjalnej, że zniechęca i gasi bezinteresowność badań naukowych. Sąd podobny atoli nie postanie w głowie tych, co przeczytają uważnie dzieło; głęboko zaś zdumieje tych, którzy mieli szczęście znać człowieka. Nikt nie kochał prawdy miłością gorętszą. Nikt nie poszukiwał jej namiętniej. Jakiś bezmierny niepokój w nim płonął; z nauki ku nauce, od anatomji i fizjologji ku psychologji, od psychologji ku filozofji, James szedł zapatrzony w wielkie zagadnienia, bez pamięci na resztę, bez troski o siebie. Przez całe życie czynił spostrzeżenia, doświadczał, rozmyślał. I jakdyby uczynił nie dość wiele, marzył jeszcze, zasypiając na wieki, o doświadczeniach nadzwyczajnych i nadludzkich wysiłkach, przez które, z poza grobu jeszcze, pracować mógłby razem z nami dla większego dobra nauki i ku większej chwale prawdy

Henryk Bergson (tłom. J. Tarczewski).

KRYTYKA.

Z Teatrów.

Dwie nowe premiery i obydwie bardzo zajęte pewnym rodzajem człowieka, który dziś jest górą, rozdaje naokół uśmiechy i łaski, z którym się liczą, którego chwalą, czczą, podziwiają, któremu zazdroszczą i którym się brzydzą. Doprawdy, nie podobna dziś nie ocierać się o pana Teissiera z „Kruków" Becqu'a (*Teatr Artystyczny*) i o pana Brocharta ze sztuki Henryka Bernsteina „Samson" (*Teatr Letni*). Ci panowie—Teissier i Brochart—zbyt wiele robią dziś krzyku naokoło siebie. Kto przejechał pędem w eleganckim powoziku z grubym cygarem w mokrych ustach, obryzgując z pod kół gumowych błotem nieopatrznego przechodnia? Pan Brochart. Kto podwyższył komorne? Pan Teissier. Kto skupuje obrazy za bezcen u najbardziej potrzebujących rubla artystów? Pan Brochart. Czyja żona zdumiewa w alejach Ujazdowskich kolosalnością piór strusich na kapeluszu? Żona Teissiera. Kto dziś spija wino w kraju, gdzie winnice i piwnice z beczkami win są mytem, pije i mówi do gości: Dobre wino, co? Ha, nie dziwnego: siedem rubli butelka! Pan Brochart. Kto mówi do syna na dobranoc: „Ty nie bądź głupi: niema żadnego Boga—jest tylko pieniądz i uczciwość (to jest: sprytne oszukaństwo i wyzysk systematyczny). Pan Teissier. Kto zmusza opinję i prasę, by mówiono po cichu, z lękiem zabobonnym i podziwem o jego łajdactwach, a trąbiono radośnie, kiedy ze zrabowanych miljonów rzuci kilka tysięcy na dobroczynność? Pan Brochart i pan Teissier. Czyja to żona, siedząc w pierwszym rzędzie na premjerze, gdy Żelazowski w 3-im akcie dusi Lenczewskiego, rzuciwszy go na biurko, krzywi się z trywialnym gestem ropuchy, zgorszonej na widok jeża i miną daje znać na cały teatr, że „w naszej sferze nie może być podobnej brutalności"? Żona pana Brochart. Brochart i Teissier są wszędzie. Oni to kradną słońce, stawiając przy najwęższych ulicach domy ośmiopiętrowe. Oni to szerzą zły ton—wciskając się wszędzie—prócz aeroplanów—i zasiewają gruźlicę na ludziach od nich zależnych—przez wyzysk.

Lecz człowiek tego rodzaju— pan Teissier — wchodzi do sztuki Becque'a bez tryumfu jeszcze. Sztuka napisana została przed 29 laty. Pan Teissier wkrada się raczej, niż wjeżdża na rydwanie, jak Brochart

w „Samsonie". Wkrada się w miękkich pantoflach, kroczy chyłkiem, mówi mało, jest zły, zamknięty w sobie, żółciowy, śmieszny. Jego wspólnik notarjusz—odmiana łotra o weselszem obliczu i kilka łotrzyków pomniejszych—stanowią zespół wcale nie bohaterski. Wchodzą oni wszyscy do domu, gdzie panuje uczciwość i bezradność, jednak z pewnym wyczuwaniem jeszcze, że tu panuje inna atmosfera i że trzeba trochę udawać, przystosowywać się do niej. Becque najwyraźniej gardzi jeszcze panem Teissier i jego świtą, pisze z goryczą o jego zwycięstwach, a sam p. Teissier jest duchowo osamotniony niemal, jak każdy manjak.

Inaczej jest u Bernsteina, w sztuce napisanej przed kilku laty i przez innego, niż Becque człowieka. W „Samsonie" pan Brochart wjeżdża na rydwanie chwały. Ten człowiek z tragarza stał się miljonerem. W jaki sposób? Któż pyta o to miljonerów? To pewna, że w sposób nieczysty. Ale Bernstein nie czyni z tego powodu najmniejszego zarzutu panu Brochartowi. Wchodzi on na scenę jako człowiek, którego ręce nie babrały się nigdy w rzeczach plugawych. Przeszłość Brocharta nie istnieje dla Bernsteina. Brochart ma pieniądze—udało mu się, jest zwycięzcą, więc ma prawo do podziwu, do wierności swej żony, do szacunku ludzi, do używania życia. Bernstein porównywa go z Samsonem biblijnym, walącym na głowy filistynów gmach, gdy Brochart za pomocą spekulacji giełdowej rujnuje siebie, lecz zarazem i kochanka swej żony. I w tej właśnie idealizacji typu bankierskiego tkwi zły smak Bernsteina. Z powodu manifestacji wrogich, jakie zaszły w Paryżu z racji wystawienia sztuki Bernsteina „Après moi", miał on powiedzieć: Dałem Francji szereg cennych dzieł scenicznych. Jeżeli wszystkie te dzieła są tej wartości, co „Samson"—sztuka napisana z wielką maestrją techniczną, to lepiej byłoby dla Francji, gdyby Bernstein nie był autorem dramatycznym.

Sztuka Bernsteina to usiłowanie, by widz zapomniał o brudnej przeszłości człowieka, by zatkał nos na cuchnącą trywialność jego walki z przeciwnikiem, by wziął do serca jego mękę i w końcu go podziwiał...

Nie powiem, by autor nie znalazł oddźwięku w uszach wszystkich widzów. Tak różni ludzie przychodzą do teatru—różni stopniem wrażliwości etycznej, wychowaniem, tradycją. Dystans między p. Brochart a widzem nie wszędzie jest jednakowy: jeden patrzy nań z zazdrością, wyciągając ku niemu swe serce płonące podziwem,—drugi zatyka nos lub czuje niezwalczoną niczym wzgardę na widok pana Brocharta i jego przechwałek.

Ze stanowiska człowieka, który od świty p. Brochart jest daleki — sztuka H. Bernsteina jest brudna. Zdradza ona w autorze ten rodzaj człowieka, który na widok elementarnego, pozbawionego wyższej wartości powodzenia zachłystuje się od zachwytu i traci miarę, porównywając duszę mizerną z duszą bohaterską — (Samson bibilijny)

Inaczej u Becque'a. Tu nic nie razi trywialnością etyczną. Tu mamy walkę dobrotliwej bezradności kobiecej ze sprytnym, lecz nie otaczanym glorją łajdactwem. Tu przyszły pan giełdy, mecenas sztuki, i „dobroczyńca" Teissier, nie rozsiada się jeszcze buńczucznie na pierwszych miejscach życia i nie żąda, by uznano jego pozę za bohaterską, Owe pretensje do wynalezienia nowego bohaterstwa — finansowego — są śmieszną stroną pana Henryka Bernsteina.

Rolę Brocharta grał Zelazowski—zapewne bardzo dobrze, ale w roli w gruncie rzeczy niedostępnej dla żadnego aktora; niepodobna bowiem uczynić Brocharta naprawdę zajmującym i tragicznym, a nie można uczynić go—komicznym, choć nim wbrew woli autora i własnym pretensjom do bohaterstwa oraz pozorom zewnętrznym jest zdecydowany na wszystko pan Brochart. Przedziwnym był Rapacki ojciec w roli margrabiego d'Andeline

W „Krukach" zapamiętałem grę p. Rydzewskiego, Orlińskiego i Zielińskiego. Ten znakomity aktor, niewyczerpany w pomysłowości artystycznej, pysznie odegrał rolę notarjusza.

Leon Choromański.

Zygmunt Kisielewski. **Świty**. Powieść, nakładem „Społeczeństwa", rok 1911.

Z ciekawością nie pozbawioną (do czego się zresztą przyznaję) pewnej obawy, zabrałem się do czytania powieści p. Zyg. Kisielewskiego. Pierwsze utwory poetów mają zawsze tajemniczy wdzięk zamaskowanej kobiety. Biała okładka z czerwonymi literami jest tu jedwabną maską, za którą ukrywać się może równie cudowne, jak szpetne oblicze... Imię i nazwisko są nic nie mówiącymi znakami — a motto, skromnie umieszczone na boku, czasami zaledwie daje słabe przeczucie czego się mamy domyślać.

Przysięgli krytycy, którzy prócz palców umaczanych w żółci sępa gnijącego ze starości, noszą na piersiach amulet z wątroby krokodyla, do takich utworów zabierają się tylko wtedy, gdy nieznany poeta ma silną protekcję, chociażby ciotki, smażącej smaczne konfitury. Dlatego może i „Świty" nie znalazły jeszcze odpowiedzi i kto wie czy znajdą, albowiem powieść p. Kisielewskiego należy do tego rodzaju utworów, które się u nas przyjmuje milczeniem:—nie jest banalna do mdłości i posiada momenty „zuchwałe".

Ale nie powiem, żeby była dobra.

Przedewszystkim p. Sarnecki.

Pan Sarnecki jest „bohaterem" powieści p. Kisielewskiego i mimo swej skromności tak wygląda, jak gdyby go ten tytuł nie zawstydzał. Może jest do niego nawet przyzwyczajony, chociaż nigdy—przysięgam—nigdy z heroizmem nie miał nic wspólnego. Poprostu p. Sarnecki niepotrzebnie się urodził i doszedłszy do pewnego wieku, zamiast, wzorem wielu mądrych ludzi—powiesić się na suchej gałęzi, albo chociaż zażyć z pudełka szwedzkich zapałek—zaczął „filozofować". I p. Kisielewski uwierzył, że to jest mądry człowiek, a uwierzywszy, napisał powieść, w której uczynił go bohaterem. Ach! co za nieporozumienie! Bo przecież nie jest to tajemnicą, że pan Sarnecki jest przedewszystkim człowiekiem, któregoby uleczył dr. Kneip. S. p. nieboszczyk Kneip uzdrowił by wielu ludzi rosyjskich, którzy siedząc nad szklanką herbaty, myślą godzinami dlaczego zagotowana woda jest gorąca. Dziecko dziwiące się muchom chodzącym po suficie, stoi na takim samym filozoficznym stanowisku i najlepszą odpowiedzią jest wytłomaczenie fizycznego ustroju muszych łapek. Tylko, że dziecko może nie zrozumieć, ale pan Sarnecki jest już w tym wieku, że powinien przedewstzystkim nie zastanawiać się—nad otwieraniem drzwi otwartych. Poprostu słaby, anemiczny człowiek, który patrzy sam w siebie i nic tam pomimo długiego patrzenia nie może zobaczyć. I bardzo naturalne, gdyż flaszka, w której nigdy nie było wina, nie będzie zawierała jego śladów. I pan Sarnecki nigdy nie otrzyma odpowiedzi od siebie samego, gdyż wszystko co posiada, mieści się w pytaniu.—Odpowiedzią jest tylko echo pytania, a jego zgłębianie przyczyn—pytaniami bez końca!

Najlepiej, najnaturalniej, najszczerzej czuje się p. Sarnecki w sytuacjach erotycznych. P. Kisielewski bardzo serdecznie i głęboko odczuł pewne przeżycia i te właśnie sceny miłosne, zwłaszcza na początku pierwszej części, są bardzo interesujące i szczere. Natomiast cały balast „rewolucyjno-społeczny" jest nad wyraz męczący, a już romans z poczciwym chłopem, dróżnikiem na Pawiaku, posiada sentyment, z jakim spotykaliśmy się nie raz w powieściach angielskich, na

podwieczorkach z pastorem i poziomkami ze śmietaną. Mimo to jednak książka p Kisielewskiego jest niezaprzeczonym dowodem talentu. Styl jędrny i żywy, a zwłaszcza rozmach niektórych scen dowodzą, że p. Kisielewski nie jedną jeszcze powieść napisze. Niemniej i „Świty" zasługują na baczniejszą uwagę.

St. Kiedrzyński.

Władysław St. Reymont. **Wampir.** Powieść.

Reymont przeniósł do Londynu akcję swej ostatniej powieści. Zamiast nazwisk i twarzy polskich, z którymi czuć, że autor jest zrośnięty, że przenika je głębiej i maluje z dosadną brawurą—anglicy i angielki, od których idzie wrażenie jakby spłowiałe—wrażenie osób, już gdzieś oglądanych—może w powieściach angielskich—może nawet u Dickensa. Tych Dicków, Joe, Smithów, te Betsy, Dolly, Ellen—traktuje się dość obojętnie, jako poprawne naśladownictwa, nie zaś postaci oryginalne. Dopiero przeczytawszy jedną trzecią powieści dowiaduje się czytelnik, że główny bohater Zenon jest polakiem. Wyemigrował on z kraju, gdzie był autorem, zaczął pisać po angielsku i zyskał w ciągu kilku lat rozgłos. Wyemigrował z kraju gnany rozpaczą, kochał bowiem niejaką Adę, która przyszła raz w nocy, oddała mu się, a potem patrzeć na niego nie chciała. Dopiero przy końcu powieści, gdy owa Ada przyjeżdża do Londynu—rzecz się wyjaśnia. Ada—nawiasem mówiąc, już mężatka w epoce owej nocnej przygody—pragnęła macierzyństwa i skorzystała z Zenona, jako z podatnego medjum. Potym jednak—rozstanie, wspomnienia, sława Zenona sprawiają, że po ośmiu latach Ada rozgorzała miłością ku Zenonowi. Zenon ma narzeczoną—miłą angielkę Betsy, którą kocha, lecz znaiduje się pod nieprzepartym urokiem niejakiej Daisy, czarodziejki palladystki i czcicielki Bafometa, która ostatecznie zwycięża i uwozi go, wydzierając Adzie i Betsy. Betsy jest miłą panienką, Ada—prócz owej nocy Zenonowi pamiętnej nie odznacza się zgoła niczem ciekawym. Jest jeszcze córka Ady i Zenona—Wandzia, przypominająca miłe dzieci Sienkiewiczowskie—chora, bo urzeczona przez Daisy. Główna postać Daisy jest w swej treści psychicznej mało dostępna. Czytelnik widzi ją zewnętrznie, widzi jej rozdwojenia, niespodziewane zjawianie się i znikanie, śledzi groźne błyski jej pięknych oczu, władzę niezwykłą, jaką ma nad ludźmi, którzy muszą jej być posłuszni, i nad panterą Bagh, ale—nic więcej. Piękna oszałamiająca się służbą Bafometa Daisy—jest tylko drażniącą zagadką, niedającą artystycznego zadowolenia.

Cała powieść roi się od poruszonych pobieżnie tematów, których wystarczyłoby na dziesiątki tomów. Nuda, mgły, deszcze, westchnienia ciotek, Biblja, spirytyzm, feminizm, teatr marjonetek, armja zbawienia, kulty rozpustne biczowników, seanse teozoficzne, rozdwojenia, urzeczenia telepatyczne, praktyki fakirskie, msze czarne! Tu i owdzie ciężkie filipiki przeciwko teatrowi współczesnemu, wiedzy współczesnej, kulturze materjalnej.

Czytelnik widzi się nagle w samym wirze zagadnień trudnych zaiste do rozwiązania i ogląda się na twarz autora, szukając w niej odbicia tych wrażeń, jakie sprawiają na artyście zjawiska cudowne—w rodzaju rozdwajania się osobowości— materjalizacji ciała astralnego—tak, że Joe widzi samego siebie, swego sobowtóra, siedzącego naprzeciw w tej samej co Joe pozie. I przekonywa się, że Reymont, wkroczywszy w tę dzidzinę, na to wszystko jako artysta nie odpowiada *nic*. Opisuje on tylko z zamiłowaniem ciekawego dyletanta te dziwne objawy tajemnicze, wyjaskrawia barwy, przyćmiewa lub rozjaśnia światła, ukazuje zjawiska z zewnątrz, piętrzy całe kopy faktów, jakoby chcąc pokonywać ilością, lecz jakościowo nic nie tłomaczy. Zbyt mało czytelnik znajdzie w tym nagromadzeniu cudowności, uczucia szczerego i głębokiego np. zdumienia, zbyt wiele prostej, nieco natrętnej ciekawości.

Przeładowanie szczegółami, niepowściągliwość w tym kierunku szkodzi plastyce. Londyn Reymonta jest niewidzialny—nie występuje mocno i charakterystycznie. Jego opisy tańców obłędnych lub nabożeństwa na cześć Bafometa robią raczej wrażenie rozchwiei barw i pian, niż widowiska, które wraż się w pamięć rysunkiem i plastyką.

Słowem—zboczenie Reymonta na drogę praktyk czarnoksięskich dało rezultat artystycznie mierny. Reymont nie wyolbrzymił swej ciekawości: jest to wciąż ta sama ciekawość na barwę, kształty i ruch zewnętrzny. Nie odsłoniło się w Reymoncie nich z przesunięcia pokładów duchowych, przez co wyzwala się jakaś dotąd ukrywana, zaparta siła. Przeciwnie—odsłonił on przez to wyraźniej swe słabe strony; pewien chłód uczuciowy i pewną niezdolność mózgową do przejmowania się istotnie rzetelnego kwestjami, do których zwraca się jego artyzm. „Wampir"—to tryumf zdrowego rozsądku nad nieugaszonym pragnieniem wyzwolenia z materji, to pewnego rodzaju ostrzeżenie, tchnące cierpkawą niechęcią sceptyka względem wszelkiego obłąkania i oszołomienia.

Leon Choromański.

NA DOBIE.

„W interesie dzieci".

W n-rze zeszłym (p. *Literatura niemoralna a mistrzowie cnoty*) wykazywaliśmy, w jak podstępny sposób wstecznictwo i despotyzm osłania swe intrygi względami rzekomej dbałości o zdrowie i czystość moralną dzieci.

Dzieci, młódź dorastająca—to przyszłość i nadzieja kraju, lecz przedewszystkim to—niepokalaność serca, to niewinność uczuć i myśli. I, oto, stajemy się świadkami, jak nad owym dziecięcym światem, czystym i niewinnym, pochylają się przeróżne żywioły, mniej lub więcej zszargane, jednostki oddzielne i całe grupy społeczno-polityczne, i w białym świetle dusz młodocianych chcą myć swe brudne sumienia.

Tej ostatniej pokusie nie oparła się i Narodowa Demokracja. Gdy udowodniono jej, że działa na szkodę kraju, gdy oskarżono ją o demoralizację narodu (p. *Z prasy, głos „Ziemi Lubelskiej" w numerze zeszłym „Prawdy"*) wówczas zawołała, że tak jak postąpiła, postąpić musiała, albowiem wymagał tego interes dzieci! Odtąd „interes dzieci", krzywda młodzieży, dobro pokoleń przyszłych ani na chwilę z ust jej nie schodzi. Z jakimś uporem obłędnego maniactwa chwyciła się grupa p. Dmowskiego tego argumentu, i ściska go coraz namiętniej w swej dłoni, nie bacząc, że ściska właściwie ostrą brzytwę, która jej krwawi palce.

W jednym tylko n-rze *Gaz. Warszawskiej* (Nr. 186) aż trzykrotnie spotykamy wyrazy ubolewania nad „prześladowaniem" młodzieży, do szkół rządowych w naszym kraju uczęszczającej. „Pomysł prześladowania dzieci—czytamy tam—i to do tego przy pomocy innych dzieci jest zniepraw ianiem całego młodego pokolenia". Słusznie! Ale gdzież, kiedy i kto w naszym społeczeństwie to „prześladowanie" organizował, pochwalał? kto je przedewszystkim widział? Najbardziej fantazjujące dzienniki nacjonalizmu rosyjskiego

nie poważyły się w tak brutalny sposób zadawać kłam naszej rzeczywistości. Cały ów „pomysł prześladowania", nad którym Endecja dzisiejsza ręce łamie, jest tylko *halucynacją* chorej wyobraźni p. Dmowskiego.

Pominęlibyśmy ją milczeniem, gdyby nie pewien szczegół, uderzający wymową dziwnej antytezy.

Młodzież, która kształci się w zakładach rządowych, jest niewątpliwie uprzywilejowana. Pozostając w kraju, ma możność zarobkowania przez udzielanie lekcji i korepetycji, korzysta z licznych stypendjów i ulgowych wpisów, wreszcie zdobywając prawa, otwiera sobie drogę ku stanowiskom i posadom.

Nad jej dolą dzisiaj płacze Narodowa Demokracja...

Ale któż zapłacze nad tymi, co wyrzekając się posad i urzędów, nie stanowiących zresztą o powodzeniu życiowym, idą do obcych ludów po wiedzę niezależną i tam stawiąc wyżej nad wszystko kulturę ducha i pracę myśli, znoszą głód i niedostatek i tęsknotę za krajem? Któż nad ich dolą zapłacze?

Kilka uwag z powodu Wystawy Mławskiej.

W końcu ubiegłego tygodnia odbyła się w Mławie, tym niejako polskim przedmieściu zniemczonych nadbałtyckich Sobót, trzydniowa wystawa lokalna w zakresie przemysłowo-rolniczym. Od lat kilku Mława, licząca około 12 tysięcy mieszkańców, słynie w całym kraju ze swej wzorowo urządzonej szkoły handlowej, 7-io klasowej, pozostającej pod kierunkiem wychowawczym p. Fankanowskiego, a materjalnie opartej na trwale zorganizowanych zasiłkach ludności okolicznej. Jednocześnie, obok szkoły, ufundowana bursa, daje możność dziatwie, nawet względnie niezamożnej, korzystać z owoców oświaty. W gmachach i dziedzińcach szkoły, opróżnionych podczas wakacji, znalazły właśnie pomieszczenie zbiory i okazy Wystawy. Zgromadzone dość licznie i uszeregowane systematycznie zajęły kilka „pawilonów".

Pewnym zacięciem artystycznym, niepozbawionym smaku i efektu odznaczał się pawilon „ziemianek" mławskich. W innych natomiast działach górowały względy praktyczne. W dziale „naukowym" i „statystycznym" zgromadzono wiele materjałów pouczających i charakterystycznych. A więc: kolekcje gleb mławskich, dane liczbowe urodzajów, pólka doświadczalne, wzory szkółek i ochron.

W zakresie narzędzi rolniczych, z powodzeniem demonstrowano działanie ulepszonych, nowoczesnych maszyn w zastosowaniu do trzech najważniejszych czynności w gospodarstwie: uprawy roli, sprzętu mechanicznego roślin pastewnych i mechanicznego sprzętu zboża.

Niemą wymowę pokazów uzupełniało i tłomaczyło żywe słowo prelegentów: A więc: p. Witkowski rozwijał zasady „hodowli włościańskiej"; p. Tuliszewski nawoływał do organizowania straży ogniowych, podając sposoby i środki ich urządzenia. O „kółkach kobiecych" mówiła p. Karczewska.

Dział hodowli mniej był pouczający i mniej oko przyciągał, zawierając zgrupowanie okazów, niezmierną nacechowanych pospolitością: średniej miary podjezdki, przysłowiowo „dzielne czwórki swego chowu", zwykłe konie robocze,– możemy oglądać codzień i poza częstokołem wystawy. Nie przeszkadzało to sprawozdawcom dziennikarskim unosić się do empirejów zachwytu na widok jakiejś krowy lub owcy, która pod ich piórem zda się natychmiast urastać do wielkości narodowego symbolu. Pewien korespondent (*specjalnie wysłany)* wprost rozczula się aż do utraty przytomności z powodu czerwonej barwy jakiejś „poczciwej" krowy „wiśnioszki", która nadomiar „pono" daje białe mleko!

Ale to już należy do tradycji naszych warszawskich dziennikarzy,—równie poczciwych, jak ta krowa, ale mniej za to, o wiele mniej czerwonych!—że wszelkie akty życia zbiorowego traktują nie jako zjawiska kultury, lecz jako malownicze przerwy w swym szarym jednostajnym życiu. Wystawę każdą witają z góry z entuzjaznem, a jadą na nią jak na majówkę. Przyjechawszy, ledwie ogarnęli ją przelotnym spojrzeniem, już piszą, już wyrokują, oświadczając bez zastrzeżeń, iż wystawa daje wyczerpujące pojęcie o zasobności kraju, „jest rzetelnym odbiciem tego, co na tej ziemi Bóg dał, a ludzie zrobili".

Co Bóg dał, a ludzie zrobili [1]),—oto wzorowy okaz blagi dziennikarskiej, sam przez się godny umieszczenia na jednej z przyszłych wystaw, tej blagi, co to odrazu chwytając za serce, ogłusza myśl i uderza obuchem po głowie.

My nie będziemy się zastanawiać nad tym, czy Wystawa Mławska była wyczerpującym i kompletnym obrazem okolicznej połaci kraju, bo takich ambitnych uroszczeń nawet w założeniu mieć nie mogła!

Zapytamy się tylko, czy była gospodarki okolicznej odbiciem *wiernym*, t. zn. czy rozmaitym, tak dodatnim jak ujemnym stronom życia, dała wyraz ściśle odpowiadający rzeczywistemu ich stosunkowi?

Wystawy bowiem miejscowe mają cel dwojaki na widoku: z jednej strony *wychowawczy*, stawiąc przed oczy ludności ulepszone wzory i doskonalsze wyniki pracy ludzkiej, z drugiej zaś czysto *informacyjny*, odtwarzając oblicze danej dzielnicy, w jej aktualnym stanie, wraz z dolą jej i niedolą, objawami niedomagań, szczegółów charakterystycznych i osobliwości. Ta ostatnia niestety strona ulega zazwyczaj zaniedbaniu.

Wszystkie niemal wystawy hojnie bywają obesłane wzorami racjonalnie urządzonych chat włościańskich, szkół zabudowań gospodarczych, baraków: jest to jeden z najciekawszych, niewątpliwie, działów. O ileż, jednak, zyskałby on na wymowie i wyrazistości, gdyby obok przeciwstawić mu można rzeczywiste żywe gniazdo nędzy i samozatraty ludzkiej, jakim jest chata wiejska, damy na to, pod Mławą; gdyby można wykazać dwory i majątki, w których *dotychczas* służba folwarczna hoduje się pod wspólnym dachem z trzodą i bydłem, ponieważ dla inwentarza swego nie posiada oddzielnych zabudowań.

Z zestawień takich, jak ze starcia dwóch biegunów przeciwnych,—ideału z rzeczywistością—trysnąłby może promień światła na olbrzymi szmat historji naszej.

Bo zastanówmy się przez chwilę nad tragiczną koleją swych losów.

Już przed stu laty porywa się heroizm Kościuszki, wbrew zgnuśniałej nikczemności narodu, pragnący dźwignąć chłopa do godności obywatela i syna ojczyzny.

A potym rok trzydziesty pierwszy powstaje, walczy i ginie.

Wreszcie w łunach krwi zachodzi rok sześćdziesiąty trzeci.

Jednocześnie rozkwitają ideały romantyzmu, szerzą się hasła demokracji, budzi się poryw ku oświacie... i cóż? Lecz cóż osiągnęliśmy w wyniku?

Jakiż jest bilans dziejowy tych nieprzeliczonych krwawych wysiłków i ofiar?

Oto ów syn ludu, którego tak żarliwie oczekujemy przy warsztacie pracy narodowej ów działacz — bohater, przed którym ideologja społeczna otwiera nieograniczone pole zadań i posłannictwa kulturalnego, pozostaje niejednokrotnie dotąd jeszcze w niewoli najhaniebniejszej, bo w niewoli— u bydła.

Gdyby tedy wystawy prowincjonalne, szersze ogarniając pola, postarały się o danie syntezy, a przynajmniej obrazu owych przeciwieństw, wówczas zło-

[1]) Zdanie „Kurjera Warszawskiego.

żyłyby dowód, iż myślą nietylko o poprawie rasy krów lub owiec, ale i o udoskonaleniu kultury człowieka.

Wówczas i wystawa Mławska utraciłaby nastrój uroczystości świątecznej, która rozpoczyna się od mszy a kończy na białym mazurze, może mniej byłaby podatna do zamknięcia w popularnej piosence Ela, mniej niefrasobliwa, zamaszysta, mniej do serca przypadająca zgrai reporterów, pozostających na żołdzie wielmożnej blagi, ale za to stałaby się przenikliwym, istotnie głębokim i surowym spojrzeniem w głąb życia społecznego; stałaby się świadomym siebie czynem zbiorowym, ogniskującym w sobie zrozumienie potrzeb społecznych i wolę ich zaspokojenia.

Za jednym też zamachem oś publicznego życia przesunięta zostałaby po za krąg magiczny, w którym dziś bezmyślnie się obraca: po za krąg, zatoczony gestem wodzireja i uświęcony kropidłem księdza.

Nasi parlamentarzyści.

Nie milkną jeszcze dotąd echa napaści ulicznej na p. Dmowskiego. Maleńka, ilościowo oraz jakościowo, grupa osób, kuląca się dokoła redakcji *Gazety Warszawskiej* aż ochrypła od ustawicznego powtarzania szczegółów, dyskwalifikujących „honorowo" sprawcę dokonanego napadu; atoli zgiełk, jaki czyni wokół drobiazgów i błahostek zajścia, nie zdoła przesłonić efektu o wiele ważniejszego w zakresie orjentacji powszechnej, mianowicie, kompletnej „dyskwalifikacji" politycznej zarówno p. Dmowskiego, jak i jego sprzymierzeńców. Ci ostatni, czynili wszystko, aby do pomszczenia „osobistej krzywdy" swego wodza powołać *in corpore* cały naród; usiłowania atoli spełzły na niczym; po za powierzchowną wrzawą dziennikarską,—naród milczał. Milczały miljony; milczały tysiące; nie ozwały się nawet setki. Wystąpiły z protestem przeciwko zniewadze p. Dmowskiego zaledwie dziesiątki i jednostki. Pośród dziesiątków spotykało się nazwiska przeważnie nieznane, więc tyleż warte, co fikcyjne, zapożyczone, dajmy na to, z powieści, albo —z krotochwili. Pośród zaś jednostek znalazły się osobistości dwóch posłów do Izby, pp. Jabłonowski i Grabski. Rzecz znamienna, że ów ostatni, ujmując się za „krzywdą osobistą" p. Dmowskiego, stanowczo zastrzegł się przeciw posądzaniu go o przynależność do stronnictwa N.-D.: snadź więc uczestnictwo w szeregach endeckich poczyna uchodzić za rzecz kompromitującą—dla kandydata na posła do IV-ej Dumy. Ha! *tempora mutantur*! P. Jabłonowski natomiast dochował zaprzysiężonej wierności stronnictwu: wobec tego, uczuł się podwójnie dotknięty obrazą swego wodza i z powodu napaści ulicznej jął wymyślać, jak ulicznik. Już to „parlamentarzyści" nasi dziwnie są *niaparlamentarni*.

Dysydenci żydowscy.

Szerząca się od niedawna „zaraza chrztu" wśród żydów we wszystkich krajach Europy stała się od niejakiego czasu przedmiotem żywej i zawziętej dyskusji na szpaltach poważniejszych pism żydowskich.

Pomimo stronnego stanowiska, jakie w tej sprawie zajmuje większość pism żydowskich, które we wzroście liczby wychrztów widzą tylko „wzrost swawoli jednostek, karjerowiczów" lub nawet — jak się wyraził niemiecki *Izraelita* — „zdrajców uciekających z placu bitwy do obozu nieprzyjaciela", powstała jednak z pośród pisarzy żydowskich — opozycja, która stara się to zjawisko rozpatrywać objektywnie, poddając krytyce judaizm — istotę religji żydowskiej.

Judaizm według nich — przyczyna nędzy i prześladowań, klęsk i nieszczęść Izraela — nie jest wcale religją we właściwym tego słowa znaczeniu. Księgi Mojżeszowe zasługują raczej na nazwę przestarzałej socyologji. Stanowią bowiem zbiór praw, przepisów i kanonów tyczących się życia państwowego i społecznego, moralności, sądu i t. d.

Judaizm zatym nie jest religją. A skoro tak, czy nie należałoby raz uwolnić się od tego jarzma, gnębiącego już od tylu wieków synów Izraela? czy nie należałoby zatamować tej strugi niewinnej krwi, którą napisana została historja żydowska ostatnich dwuch tysięcy lat?

Takie mniej więcej są wywody oponentów żydowskich i z tego też punktu widzenia starają się oni tłómaczyć wzrost z roku na rok liczby neofitów.

Ból p-na Straszewicza.

W zamęcie i zgiełku, wywołanym przez „uchwałę szkolną" i związane z nią głośne zajścia, omal że nie przeoczono przykrego z *Gońcem* warszawskim wypadku. Organ „frondy" narodowej, słuszne czyniąc autorom uchwały szkolnej wyrzuty za ich stanowisko, umieścił zarazem na miejscu widocznym... ogłoszenie rządowej Politechniki Warszawskiej!

Dziwne to zjawisko spostrzegł natychmiast czujny p. Straszewicz i w sążnistych wytknął artykułach.

Redakcja *Gońca* nie przeczy faktowi tłómacząc swoje postępowanie obawą kar pieniężnych w razie gdyby rzeczony inserat odrzucono.

Nie wdając się w merytoryczne rozważanie tej dziwacznej afery wyrazić musimy wespół z p. Straszewiczem zdumienie: jakim sposobem w *Gońcu* ukazać się mogło tego rodzaju ogłoszenie, które przynależy się prawnie *Kurjerowi Polskiemu* z tytułu tradycji, troskliwie ochranianej i zazdrośnie strzeżonej.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *W rozsypce.* Z wyborów galicyjskich wyszło stronn. „dem.-narodowe" bardzo zachwiane i uszczuplone, zaś odezwa szkolna w Królestwie Polskim ujawniła głęboki jego rozkład i niepopularność.

Obecnie jest obóz p. Dmowskiego w zupełnej rozsypce, a naczelny jego organ. *Gazeta Warszawska*, usilnie nadrabiając miną, wpada jednak w ton minorowy.

Dowiadujemy się więc z ostatnich numerów tego pisma, że t. zw. demokracja narodowa przestaje się już uważać za „cały naród" i szuka skromniejszej roli. To też „uchwała szkolna" bynajmniej całego ogółu nie obowiązuje:

> Stronnictwo powzięło uchwały dla siebie, a to czy społeczeństwo zechce się z niemi liczyć, zależy w zupełności od tego, o ile to społeczeństwo liczy się ze stronnictwem. Jeżeli stronnictwo jest pozbawione wpływu, to irytacja jest niepotrzebna, bo jego uchwały odgłosu nie znajdą. A przecie żadnemu stronnictwu nie można zabraniać uchwalania jakiegokolwiek stanowiska dla siebie.."

Oczywiści żadnemu stronnictwu nikt zabronić nie może uchwalania rezolucji partyjnych na własną rękę i własną odpowiedzialność. Musimy wszakże zauważyć, że właściwy pogląd na funkcje stronnictw politycznych w zastosowaniu do siebie jest w obozie „endecji" zupełną nowością. Słusznie więc zauważa z tego powodu *Dzień*:

> Z „gospodarza" w kraju partja N.-D. zamieniła się na jednego z członków zbiorowych społeczeństwa. Z hasła: naród to my, pozostało jej jedno konsekwentne powiedzenie: stanowimy część narodu.
>
> Stronnictwo odarło się z majestatu władzy, nie zabrania już krytykowania swoich czynów, zaczyna zajmować stanowisko, jakie partji, bo tylko partji, przystoi.

Nie ma już dawnych imperatywów „gospodarza“ kraju, nie ma nakazów i gróźb.

Jak widać, *Gazeta Warszawska* witając uchwałę szkolną jako „ważny krok na drodze uzdrowotnienia stosunków w naszym kraju” bynajmniej nie mija się z prawdą. Istotnie — redukcja nieznośnej dyktatury endeckiej do właściwych granic jest aktem wysoce zbawiennym, choć wypadł on dość niespodziewanie dla naczelnch partyjnych działaczów.

* Gdy tak warszawski sztab endecji składa z siebie, acz niechętnie i z ociąganiem, samozwańczą dyktaturę w kraju, jednocześnie lwowscy jego komparsi, mimo dotkliwej nauczki, trwają wciąż w godności„ całego narodu”. Osławione *Słowo Polskie*, które moralnie stoi chyba na jednym poziomie z *Now. Wremieniem*, nazywa klęskę swojej koterji — „zaprzepaszczeniem duszy narodowej.” Ponieważ ogółem liczba posłów endeckich w wiedeńskiej Radzie Państwa spadła z 16 do 10, okazuje się przeto że „dusza narodowa”, zdaniem pp. endeków tkwi w tych 6 właśnie „odpalonych” między którymi świecą jako gwiazdy pierwszej wielkości i mocy — złodziej Paduch i szalbierz ks. Stojałowski...

* *Nowa Reforma* bije na alarm z powodu zagnieżdżonego na stałe marazmu w Sejmie lwowskim, gdzie z jednej strony obstrukcja rusińska, a z drugiej — zła wola „podolaków” uniemożliwiają normalną działalność.

Organ demokratów krakowskich krytykuje ostro niezaradność i bierność leaderów sejmowych.

„Czy i co uczyniono dotychczas ze strony polskiej większości sejmowej, względnie wydziału krajowego i polskich sfer wpływowych, dla uruchomienia sejmu krajowego? Parlamentarna akcja wyborcza, której końce trzymali przedstawiciele władz krajowych, była dobrą sposobnością do nawiązania w tym kierunku z rusinami rokowań. Zdaje się jednak, że nikt o tem nie pomyślał i dopiero rząd centralny wyręczył w tej trosce nasze sfery decydujące, gdyż przed kilku dniami zamieściła *N. Fr. Presse* wymowną wzmiankę, że rząd, oczywiście wiedeński, ma zamiar wdrożyć akcję dla uruchomienia sejmu galicyjskiego.

Czy to zdrowo dla nas, że w trosce o uruchomienie sejmu krajowego wyręcza nas rząd centralny? Czy to politycznie z naszej strony, że rząd prowadzi rokowania z rusinami—bez nas? Rząd atoli będzie w tym procederze jeden mieć po swej stronie argument: jeżeli - powie nam—wy nic nie robicie, to ja jestem od tego, abym was w tej robocie wyręczył.

Są to objawy niepokojące. Sejm nasz, a z nim autorytet samorządu krajowego, upada. Kraj z dziwną obojętnością patrzy na ten objaw zatrważający, bo ten sejm kurjalny, nie będący przedstawicielem jego społecznych i politynych aspiracji, coraz mniej budzi w nim zajęcia i coraz mniej jest mu sympatyczny. Jest to jakaś nieswojska, narzucona mu organizacja, której dążności coraz bardziej są mu obce.

Zarzut, jak widać, bardzo poważny i z bólem serca przyznać musimy, że w zupełności zasłużony.

* Na temat „przysięgi antimodernistycznej” wypisał jakiś przygodny teolog w *Słowie* szereg wybitnych niedorzeczności, z następującym na czele zdaniem:

Niedowiarstwo pieni się z gniewu na Piusa X za to, że się ośmielił wystąpić przeciwko niecnej robocie dzisiejszej „niezależnej“ nauki, wrogiej tradycji i kulturze chrześcijańskiej“.

Zapewnić możemy teologa ze *Słowa*, że „niedowiarstwo” szczerze jest Piusowi X wdzięczne za „mocny” kurs polityki watykańskiej, który więcej *Wolnej Myśli* przysporzył adeptów w ciągu lat 5, niż ćwierć wieku wytrwałej propagandy; natomiast faktem jest, że zasadną żywią doń urazę ci wszyscy szczerzy, ideowi chrześcijanie, których wyrugowano z Kościoła systemem cenzuralnych rygorów i szykan policyjnych.

Niemniej myli się teolog ze *Słowa* przypisując rosnący dziś powszechnie nastrój wolnomyślny „nienawiści i złości” za to, że

gdy wszystko na świecie dziś się rozkłada i pozwala tumanić nowoczesnej kulturze, jeden tylko Kościół stoi, jak dąb, do którego miazgi duch czasu żadną miarą dostać się nie może

Skoro się Kościół tak jaskrawo i nieprzejednanie przeciwstawia „kulturze nowoczesnej” i „duchowi czasu” tedy nie potrzeba bynajmniej „nienawiści i złości” jednostek, by się stał rychło niepopularny i zbyteczny, jak każdy przeżytek.

Jedna jeszcze uwaga: wolno książętom kościoła i dostojnikom kurji robić co im się żywnie podoba w zakresie swej władzy i kompetencji: ale nie wolno *nikomu* wiązać żywych społeczeństw z organizmem, obcym „nowoczesnej kulturze” i wrogim „duchowi czasu.” Toć jasnym jest dziś dla każdego, że takie współżycie zepchnąć musi najżywotniejsze nawet społeczeństwo do poziomu żydowskiego *ghetta*, zapleśniałego w talmudycznym zastoju, który w równej chyba jak katolicyzm, jeśli nie większej mierze, nie pozwala „tumanić się nowoczesnej kulturze” i dlatego jest istnym dla żydów — mozaistów przekleństwem.

Dziwić się trzeba, że *Słowo*, organ naszych „torysów”, pismo skądinąd kulturalne, toleruje na swoich szpaltach *epistolae obscurorum virorum* w rodzaju takich enuncjacji.

Z prasy żargonowej.

* „Świadomość narodowa” szerzona w masach żydowskich przez pisma żargonowe musi być bardzo pośledniego gatunku, skoro całe czytelnictwo opiera się na krzykliwej reklamie i ponętnych premjach.

Najbardziej rozpowszechnione pismo żargonowe, „Hajnt” urządza co rok dla 12-u swoich czytelnikkw gratisową wycieczkę do Palestyny i temu jedynie zawdzięcza *Hajnt* swoją popularność. Inne pismo *Unser Leben* daje na każde 23,500 swych czytelników (ilość Nr. Nr. loterji państwowej) 400 różnych pieniężnych wygranych w sumie 6000 rb.

Niemniej popularny *Moment* obdziela swoich czytelntków dziesiątkami tysięcy łokci kwadratowych ziemi w okolicach Warszawy, i t d.

A jak się przedstawia czytelnictwo poważne, bez premji i humbugu?

Jedyny sumienny o charakterze czysto literackim tygodnik *Der Strahl* po roku istnienia został zawieszony z braku czytelników. Jedyny poważny i uczciwy w swoim rodzaju dziennik *Der Fraind* tak mało jest czytany, że musiał dla swej szczupłej garstki czytelników powiększyć cenę pisma do 3 kop., gdy tymczasem wszelkie inne gazety żargonowe kosztują tylko 2 kop.

KRONIKA.

ŁÓDZKIE TOW. KRZEWIENIA OŚWIATY. Sprawozdanie za rok 1910 wykazuje, że przeszkody, które zawsze przezwyciężać musiało Towarzystwo, w roku sprawozdawczym nie zmniejszyły się bynajmiej. Represje ze strony władz (z powodu rewizji i czasowego opieczętowania biura w maju roku zeszłego wszystkie czynności Towarzystwa na cały miesiąc uległy przerwie), niechęć lub conajmniej obojętość względem Towarzystwa sfer bogatych, wrogi stosunek nacjonalistów żydowskich, wszystko to wpływało do pewnego stopnia ujemnie na bieg spraw w Towarzystwie, lecz całkowicie rozwoju jego zahamować nie mogło.

W porównaniu z rokiem 1909 liczba słuchaczy, oraz czytelników, pomimo przerwy miesięcznej skutkiem wspomnianych już powodów, wykazuje dosyć znaczny przyrost. Zapał i poświęcenie garstki inteligencji, pracującej w wypożyczalniach i salach odczytowych, oraz zaufanie czytelników i słuchaczy pozwoliło Towarzystwu przetrwać najcięższe nawet chwile.

Sekcja nauczania analfabetów w roku ubiegłym nie była czynna, ponieważ nie otrzymano na to pozwolenia władz.

Sekcja uniwersytetu powszechnego w roku sprawozdawczym urządzała wyłącznie odczyty przystępne dla najszerszych mas, zarówno ze względu na treść, jako też cenę biletów wejścia. Doświadczenie lat ubiegłych dowiodło, że takie jedynie odczyty ściągają licznych i niemal stałych słuchaczy. Przeciętna liczba słuchaczy na odczycie wynosiła 119. Na odczytach bywali przeważnie robotnicy, z wyjątkiem odczytów ściśle literackich, na które przychodziło też sporo osób z inteligencji, zwłaszcza zaś młodzieży szkolnej z przewagą płci żeńskiej. Odczyty treści przyrodniczej były zawsze ilustrowane obrazami niknącymi, a w miarę możności i doświadczeniami. Ogółem urządzono w roku sprawozdawczym 38 odczytów, mianowicie 20 przyrodniczych i 18 z historji kultury, historji powszechnej i historji literatury; ogółem na odczytach było 4,529 słuchaczy, przyczym minimum stanowiło 33, a maximum 536 słuchaczy.

Sekcja wypożyczalń książek obejmowała 4 wypożyczalnie: przy ulicy Widzewskiej Nr 146, Zawadzkiej Nr 17, Suchej Nr 4 i Zgierskiej Nr 15.

Zasób książek wynosił: poezje i dramaty 974 powieści 2,475f dla młoezieży 1,928, naukowe 3,123 i czasopisma i dzieła zbiorowe 148, razem 8,648 dzieł wartości około 7,000 rb.

Korzystało z wypożyczalni razem 2,301 osób. Zgłoszeń po książki było: młodzieży 14,714, dorosłych 25,643, razem 40,357. Wypożyczono tomów 71,315 we wszystkich 4 wypożyczalniach.

Najmłodszy czytelnik liczył 7 lat, najstarszy 63 lata. Według wyznań było chrześcijan 1,365 i żydów 936. Według zajęć czytelnicy rekrutują się z warstw następujących: robotnicy fabryczni, rzemieślnicy, uczniowie i uczennice szkół, pracownicy handlowi, nauczyciele, nauczycielki, bony, służące, stróże, pomocnicy tramwajowi etc.

Z 25-kopiejkowych opłat miesięcznych od czytelników uzyskano rb. 1,043 kop. 39.

Wydatki wyniosły rb. 2,838 kop. 76. Niedobór pokryty został z głównej kasy Towarzystwa krzewienia oświaty.

W roku 1910 upłynęło 5 lat od chwili powstania Towarzystwa.

Działalność Towarzystwa za cały czas działalności ujęta w cyfry, przedstawia się w sposób następujący: Analfabetów od grudnia 1905 r. do października 1907, t. j. do chwili zamknięcia kursów przez generała Kaznakowa uczono 1,500 w 34-ech grupach.
W tym samym czasie 960 słuchaczy w 25 grupach uczyło się języka polskiego, kurs średni i wyższy, algebry, geometry, fizyki t t. d. Odczytów wygłoszono 543 przy 68,009 słuchaczach.

Książek polskich wydano 235,597 tomów, żargonowych (w latach 1908 i 1909) 31, 326.

Towarzystwo wydało nakładem własnym wypisy dla dorosłych czytelników, przyjęte z uznaniem przez krytykę

Urządzono 3 koncerty popularne i w roku 1908 wystawę obrazów, dostępną dla szerokich mas.

UNIWERSYTETY NIEMIECKIE. Liczba słuchaczów wszechnic niemieckich, która w roku 1870 wynosiła razem 13,000, wzrastała od czasu stworzenia Rzeszy niemieckiej stale tak szybko, że już około roku 1885, gdy liczba ta się podwoiła, zwracano uwagę na grożące przepełnienie zawodów akademickich. Tymczasem w roku 1904 liczba początkowa słuchaczów już się potroiła, a w bieżącym półroczu letniem wynosi 52,230 wobec 54,847 w lecie roku 1910. Ponieważ przyrost roczny w roku bieżącym wynosi 2,383 słuchaczów, wobec przyrostu w roku 1910 w ilości 3,147, a w roku 1909 nawet 3,901, przypuszczać można, iż olbrzymi dopływ ostatniego dziesięciolecia powoli cofa się do granic prawidłowych.

Na ogólną liczbę słuchaczów wszechnic niemieckich zapisało się w roku bieżącym 54,678 mężczyzn i 2 552 kobiet (przed trzema laty było 47,432 słuchaczów i 376 słuchaczek); z tych należących do Rzeszy jest około 53,000 (w roku 1908 44,000), zagranicznych około 4,300 (w roku 1908 3,594). Pzyrost zatem słuchaczów w ostatnich latach polega w znacznej mierze na dopuszczeniu kobiet do studjów uniwertyteckich i na wzroście liczby studentów z zagranicy. Oprócz powyżej wymienionych uczęszcza na wykłady uniwersyteckie jeszcze 2,848 mężczyzn i 1,212 kobiet, zapisanych tylko na semestr bieżący, tak, że właściwa liczba wszystktch słuchaczow w Niemczech wynosi 61,290 osób.
Porównanie liczb dzisiejszych w poszczególnych fakultetach (gałęziach wiedzy i nauki) z liczbami w r. 1910 i 1906 wykazuje jasno zmianę kierunków studjów, oraz wpływających na nie potrzeb państwowych i społecznych, mianowicie w liczbach świeżo wstępujących w szeregi akademickie. Uderza tu szczególnie znaczny wzrost młodzieży, którs obrała sobie zawód lekarski. Studentów medycyny było w 1906 r. 6,683, w 1910 r. 10,682, w roku bieżącym jest ich 11,927. Drugą z rzędu najwyższą liczbę wykazują słuchacze filozofji, filologji i historji, którzy obecnie liczą się na 16,158)w 1910 r. 15,375, w 1906 r. 10,833); słuchaczów matematyki i nauk przyrodniczych liczą na 8,442 (1910 — 7,937, 1906 — 6,323); prawników 11,023 (1910 — 11,323, 1906 — 12,375); przygotowujących się do stanu duchownego katolików 1,834 (w 1910 r. 1,840, w 1006 r. 1,841), ewangelików 2,725 (2,507 i 2,329), kameralistów i rolników 2,729 (w 1910 r. 2,406, w r. 1,801), aptekarzy 916 (w 1910 r. 1,147, w 1906 r. 1,767), dentystów 1,046 (w 1910 r. 1,264, w 1906 r. 755), leśników 170, weterynarzy 160.

W porównaniu z r. 1906 zmniejszyła się więc tylko znacznie liczba prawników i bardzo znacznie liczba aptekarzy wskutek isniejącego wszędzie przepełnienia tych zawodów, cofnięcie się liczby dentystów przypisać należy zwiększeniu wymagań wykształcenia i kosztów i przedłużeniu czasu studjów.

Z ogólnej liczby studentów niemieckich zapisanych jest na 10 wszechnicach pruskich w roku bieżącym 28,981 (1010 r. 27,577), na 3 bawarskich 9,445 (9,369), na dwóch badeńskich 5,532 (5,279), na reszcie. sześciu w poszczególnych państwach związkowych 13,222 (w1910 r. 12,602).

Rozwój poszczególnych wszechnic i ich wzajemny stosunek w ciądu roku ostatniego wykazują odnośne liczby słuchaczów w roku bieżącym i 1910. Berlin, stojący na czele, liczy obecnie 8,039 słuchaczów, w tem 695 kobiet, w 1910 r. 7,902 (wzgl. 626), Monachium 6,942 (6,890), Lipsk 4,888 (4,592), Bonn 4,174 (4,070), Fryburg 3,080 (2,884), Hala 2,681 (2,451), Wrocław 2,586 (2,432), Getynga 2,492 (2,355), Heidelberg 2,452 (2,413), Marburg 2,302 (2,192), Tybinga 2,118 (2,061), Sztrassburg 2,079 (1,964), Monaster 2,009 (2,007), Kolonia 2,001 (1,760), Jena 1,902 (1,817), Królewiec 1,517 (1,381), Wyrcburg 1,449 (1,429), Giessen 1,315 (1,334), Gryfia 1,180 (1,029), Erlangen 1,104 (1,050), Rostock 920 (834). Zatem z wyjątkiem wszechnicy w Giessen, wszystkie wykazują przyrost liczby słuchaczów, względnie największy w Gryfji, Kilonji i Hali.

OFIARY.

Na szkołę praktyczną dla dziewczyn wiejskich w Gołotczyźnie: Janina Przestępska z Dziunikowa rb. 1.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.**

Redaktor: **Aleksander John.**

Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.